ŁOWIEC POLSKI



W dniu św. Huberta za króla Stasia — *rys. J. Rozwadowski.*

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 11 (960) **Listopad — 1948 r.** **Cena zł 50**

Rok 50-ty wydawnictwa

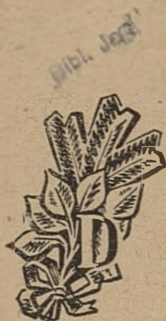
ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 11 (960) 1948 listopad

MARSZAŁEK POLSKI MICHAŁ ŻYMIERSKI

przyjmuje najwyższe odznaczenie łowieckie „ZŁOM“



Dnia 2 X 1948 r. delegacja Polskiego Związku Łowieckiego w osobach: prezesa profesora, generała dywizji, doktora Bolesława Szareckiego, wiceprezesa Józefa Skrzypka oraz wiceprzewodniczącego Komitetu Wykonawczego, Zbigniewa Kowalskiego, wręczyła Wysokiemu Protektorowi Związku, Ministrowi Obrony Narodowej, Marszałkowi Polski Michałowi Żymierskiemu najwyższe odznaczenie łowieckie ,,Złom'', na przyjęcie którego Marszałek Polski wyraził uprzednio swą zgodę.

Po uroczystym wręczeniu ,,Złomu'' Marszałek Polski zatrzymał delegację na dłuższej rozmowie, interesując się żywo pracami bieżącymi Związku, ,,Łowcem Polskim'' i planami pracy na okres najbliższy.

Audiencja trwała przeszło godzinę.

ZBIGNIEW KOWALSKI.

RYKOWISKO W 1948 R.

Znowu na Mazurach.

Kiedy w połowie września błękit nieba zblednieje o jeden ledwo dostrzegalny ton, a czuby brzóz nabiorą cytrynowo-żółtego odcienia, kiedy na kartofliskach rozsnuje się dym po palonej naci, a dalekie smugi lasów zsinieją za jesienną mgłą, ogarnia mnie przemożna tęsknota za krainą jezior, wzgórz i borów, za Mazurami.

Urzekła mnie bowiem przed czterema laty piękność tej ziemi. Dziesięciodniowa włóczęga w 1945 roku na linii Ostróda — Olsztyn — Nibork i pobyt na rykowisku w Książęcym Lesie, zwanym jeszcze wtedy „Prinzwaldem", zapadł mi w duszę najgłębszym wspomnieniem. Następne zaś w kolejnych latach dwie wrześniowe wycieczki przykuły moje serce do mazurskiej ziemi na zawsze.

Dziś więc jadę po raz czwarty na rykowisko do lasów olsztyńskiej dyrekcji. Serce niecierpliwie postukuje w piersiach, oczy wpatrzone są w daleką linię horyzontu, myśl wybiega naprzód, wyprzedzając chłodnicę samochodu o 100 kilometrów. Śpieszno jest nam do kniei tak bardzo, że jedziemy jednym tchem.

Trzy przymusowe i jedyne przystanki — to punkty kontrolne na szosie.

Wyciągnięta do góry ręka milicjanta, notes i ołówek, zatrzymujemy się.

— Dokąd panowie jedziecie?

— Do Książęcego Lasu

— Dokąd?

— Do Książęcego Lasu.

Milicjant na rogatce golędzinowskiej kręci głową na taką odpowiedź; cóż dziwnego, przecież nigdy nie słyszał podobnej nazwy. Wreszcie wpisuje konieczne dane do książki kontrolnej, jedziemy dalej. Za to milicjant w Płońsku notuje z uwagą i z powagą nasze oświadczenie, nie chce się zdradzić widocznie z prowincjonalną, jak sądzi, nieznajomością ojczystej geografii.

W Szczytnie jest znowu inaczej. Sprawdzający dokumenty kapral mówi:

— Książęcy Las. Też chce się wam jechać do takiej zapadłej dziury.

Pomimo wszystko, chce się nam jechać i to nawet bardzo chce się jechać.

Znajoma, asfaltowa i wąska, a z charakterystycznymi przejazdami przez tory kolejowe, brukowana przez wsie i osady, szosa za Chorzelami jest prawie zupełnie nie

zniszczona. To też Jeep pomrukuje równiutko z zadowolenia, a wskazówka licznika zatrzymuje się nieruchomo na 40 milach.

Poza lepszą nieco od Opaleńca nawierzchnią drogi, granica, tak wyraźna przed czterema laty, dziś zatarła się zupełnie. Budynek straży celnej rozszabrowano dokumentnie, z czarno-biało-czerwonego, masywnego szlabanu został tylko słupek z zębatym kółkiem na wierzchu. Rolnicy orzą pola po obu stronach granicznej rzeczki, jednako szarzy i pochyleni, ciężkie skrzyniaste wozy z ziemniakami ciągną zgodnie drogą w obu kierunkach, na północ i na południe.

Po zagrodach, które mijamy, skrzypią dźwignie zielonych pomp studziennych, gdaczą kury, porykuje bydło. Cienkie strużki dymu z kominów biją w spokojnym powietrzu wprost ku spłowiałemu błękitowi nieba.

Życie na wsi mazurskiej, pomimo szarzejących jeszcze tu i tam odłogów, płynie nurtem powolnym jak rzeka, ale nurtem niepowstrzymanym i rozlanym szeroko. Różnica, w porównaniu z 1945 rokiem, jest na wsi ogromna, ba, rzucająca się w oczy na każdym kroku.

Za to w przydrożnych miasteczkach, zrujnowanych wojną i zżartych pożarem, zmieniło się od lat czterech jakby niewiele. Kiedy jednak i tam przyjrzeć się z bliska życiu, stwierdzić trzeba, że postęp jest równie poważny.

Bo choć zamazany czarny napis: „Apotheke" prześwieca jeszcze z pod cieniutkiej warstwy świeżego wapna na frontonie pokaźnego domu w Wielbarku, to w jego bocznym skrzydle widać już czerwono-żółtą tabliczkę z napisem „Ośrodek Zdrowia", a za szerokimi i wysokimi szybami dawnej eleganckiej „Conditorei" w Szczytnie, zieleni się szyld „Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej".

Lecz inny jest jeszcze wykładnik normującego się życia po miasteczkach i miastach na Mazurach. A są nimi młodzi, a raczej pary młodych. Dzień jest sobotni, więc widać je przed kinem i na rowerach za rogatkami i w laskach podmiejskich, widać je wszędzie. Życie ma więc tutaj nie tylko swoje dzisiaj, ale myśli coraz bardziej o jutrze.

Szybko ucieka nam droga skroś lasów i osad, wzdłuż jezior i zielonych ozimin. Skraca ją jeszcze miła pogawędka z towarzyszem wyprawy i łowów, profesorem J. Mijamy Olszyny i Jeruty. Jesteśmy już niedaleko celu podróży.

Jeleń a la minute.

Lazurowe jezioro prześwituje z daleka przez gonne sosny, a potem bór kończy się jak nożem ucięty i wodny przestwór Świętajna otwiera nam daleki widok na lasy, lasy i lasy, spływające miękko ze wzgórz ku własnemu odbiciu w tafli jeziora.

Dobrze znajoma aleja klonowa, żywa jeszcze letnią zielenią, skręca raptownie w prawo. Brzydki, z czerwonej cegły budynek nadleśnictwa wyrasta nagle przed nami z pomiędzy drzew, jakby spod ziemi i zamyka dalszą drogę. Stajemy.

Na obejściu nadleśnictwa ruch, widać, że oczekują naszego przyjazdu. Z daleka poznaję znajome sylwetki leśników oraz robotników leśnych, Mazurów, czekających przy sobocie na wypłatę.

Ze schodków, wiodących z oszklonego ganeczka, zbiega Bella i rzuca mi się na szyję. Proszę się w tym miejscu nie uśmiechać, gdyż Bella, to, niestety, nie żadna piękna kobieta, a jedynie inżynier nadleśniczy w Książęcym Lesie i nasz miły gospodarz na tydzień najbliższego życia. Poza tym mój kolega jeszcze z podchorążówki włodzimierskiej.

Nie wiem jednak czy piękna kobieta ucieszyłaby mnie więcej kilku najmilszymi, bezładnymi słowami, które padają, jak zwykle przy przywitaniu, niż oświadczenie nadleśniczego, że byki ryczą od kilku dni i to dobrze ryczą.

Zatem... Zatem w pół godziny później jesteśmy już w kniei, a w ciągu następnej... ale nie wybiegajmy myślą zbyt szybko naprzód.

Dzień jeszcze jasny, dopiero dochodzi szósta. W 98 oddziale przed nami ryczy jeleń, gdzieś dalej na linii ogniowej odpowiada mu drugi.

Zostawiam zatem inżyniera Bellę i leśniczego Cylca przy samochodzie, mojego ostrowłosego wyżła Lorda przywiązuję do kierownicy Jeepa i ruszam w podchód.

Dość wygodna ścieżyna podchodowa wije się nad brzegiem zagaju wprost w kierunku pomrukującego byka. Posuwam się szybko i cicho. Wiatr mam idealny.

Jeleń ryczy w rzadkich podrostach brzozowych na wrzosowisku i choć jest już niedaleko, dostrzec go jakoś nie mogę. Pasące się nieco dalej spokojnie dwie łanie szczypią trawę i nie zwracają uwagi na trzaskające od czasu do czasu pod moimi nogami gałązki posuszu. Byk jest coraz bliżej. Lornetuję więc raz jeszcze uważnie pas brzeziny tam i z powrotem.

Nagle poruszył się czarny konar suchej sosenki. Jeszcze raz i znowu skręcił się, jakby pod powiewem wiatru.

Tak, to wieniec byka, a właściwie prawa tyka wieńca. Jest więc wieniec i to zdaje się kapitalnego dwunastaka, byka jednak ciągle nie mogę schwytać w szkła lornetki. Leży sobie najwidoczniej wygodny sybaryta w piaszczystym, nagrzanym słońcem—dołku; wypoczywa i postękuje z zadowolenia w kierunku żerujących łań.

Sytuacja ta trwa długie dobre piętnaście minut. W lesie zaczyna się z lekka zmierzchać. Byk ciągle leży i porykuje, łanie zaś pasą się nadal uparcie i gorliwie. Inne byki, znające widocznie dobrze wagę wieńca i powagę „mojego" jelenia, nie zbliżają się, a tylko smętnie oznajmiają o swej tęsknocie w sośniaku i krążą z daleka gąszczami przezornie i ostrożnie. Zmrok nadchodzi coraz szybszymi krokami. Trzeba zatem spróbować zawabić, za dziesięć minut będzie już bowiem koniec ze światłem, niezbędnym dla pewnego strzału.

Wyciągam więc szklany cylinder, uderzając nim po drodze z brzękiem o lornetkę. Łanie nie reagują szczęśliwie na ten przypadkowy hałas; mogę zaczynać. Chucham w szkło, przymierzam je do ust. Wreszcie ryczę, może odrobinę za grubo. Byk ani drgnie. Ryczę po raz drugi.

Jeleń zrywa się na równe nogi jak koń podcięty biczyskiem, potrząsa wieńcem ze złością, rwie kiście igieł z najbliższej sosenki i postępuje dwa, trzy kroki w moim kierunku. Potem rozwierając szeroko gardziel, ryczy, kładąc rogi po sobie. Teraz mogę dokładnie zlornetować i ocenić wieniec. Tak, to mocny, stary dwunastak, garbonosy i gruboszyi, o pięknej rozłodze wieńca i regularnych koronach.

Byk wart jest strzału, ale jak tu strzelać, kiedy od-



... i potem przewozić łodzią do nadleśnictwa... *fot. Z. Kowalski*

ległość wynosi ponad sto pięćdziesiąt kroków, a ponadto jeleń stoi idealnie na sztych.

Trzeba jeszcze raz zawabić, może podejdzie, może ustawi się inaczej. Podnoszę szkło do ust. Ale bojowy ryk jelenia kiksuję, wyciągam wyraźnego kogucika. Łanie podnoszą łby, wietrzą niespokojnie, potem niezbyt szybkim, ale zdecydowanym truchtem ruszają w kierunku zagajników. Byk wykręca się za nimi powoli do boku, poczym z godnością i majestatem postępuje kilka kroków naprzód.

Ale mam już komorę zwierza na krzyżu lunety. Jedna, druga luka w brzozach, strzał.

Łomot i trzask uciekających zwierząt milkną po paru sekundach. Serce łomocze w piersiach dużo dłużej.

Powoli dochodzę na miejsce strzału.

Z daleka ciemnieje wyraźnie w żółtawym piasku kąpielisko byka, z daleka widać też poczwórne odbicie śladów racic w ucieczce. Choć ślady są tak rzucające się w oczy, to jednak nawet kropli farby nie mogą dostrzec na osypisku. Nie wiem czy to zmrok już przeszkadza w poszukiwaniach, czy też po prostu chybiłem jelenia. Dalej na wrzosach gubię w ogóle tropy, ale za to na maleńkim skręconym liściu brzozy, widnieje czerwona kropelka.

Zdecydowanym szybkim krokiem wracam w stronę samochodu. W połowie drogi spotykam się z idącymi na odgłos strzału leśnikami. Cylc zabrał ze sobą przezornie psa. Lord idzie zatem na otok. Zaczynamy poszukiwanie, gdyż ciemnieje coraz bardziej.

Zdejmuję lunetę z trójlufki i odchodzę kilka kroków w bok, by w każdej chwili być gotowym do strzału. Ruszamy.

Pies szybko odnajduje ślady, przypada nosem do ziemi i zaczyna ciągnąć leśniczego za tropem, sapiąc z wysiłku jak astmatyk. Przechodzimy szybko pięćdziesiąt, sto kroków. Lord ciągnie po śladzie bez trudu.

Tropy byka zataczają coraz wyraźniejsze koło.

— Niedaleko powinien leżeć — leci mi myśl przez głowę. Jednocześnie Cylc mówi: — Uwaga, leży.

Zwracam szybko głowę w lewo i podnoszę broń do ramienia. O trzydzieści kroków od nas, w niskich sosenkach majaczy w coraz gęstszym mroku wysoki, nieruchomy, o pięknym kształcie wieniec, bieleją białe ostre groty w koronach. Podbiegam. Wieniec piękniejszy jest niż myślałem, wysokość każdej tyki wynosi bowiem 105 cm. Byk jest z typu ciemno-wilczatych, prawie czarnych, krótkogrzywych i długonogich, niewielkich jeleni mazurskich. Waży wszystkiego 180 kilogramów.

Kula siedzi na spóźnionej komorze.

Zorza na zachodzie blednieje, maleje, zapada za las.

Mrok zlewa się po wrzosach coraz bardziej gęsty, fioletowy, jak kwiaty wrzosu.

Ruszam na szosę po Jeepa. Leśniczowie zostają przy byku. Lord podnosi głowę, ogląda się za mną, wstaje, aż wreszcie kładzie się spowrotem przy zdobyczy.

* * *

Czerwonymi ognikami żarzących się papierosów sygnalizują z daleka swe nadejście profesor J. i leśniczy Milewski.

— Do czego pan strzelał?

— Do wilka—odpowiadam spokojnie, kryjąc uśmiech zadowolenia.

— Włóczą się teraz te juchy ciągle — wtrąca Milewski.

— No i z jakim rezultatem?

— Daleko było. Poszedł.

Nagle leśniczy Milewski, który podszedł bliżej samochodu, woła:

— Ależ to wilczysko ma rogi!

Zbliża się profesor i badawczo oświetla latarką wieniec ze wszystkich stron, a następnie ściska mocno w milczeniu moją dłoń.

Gwiazdy świecą jasno. Za lasem przez drzewa wstaje czerwonawy sierp księżyca.

Szkło z lampy Alladyna.

Wyznawcy Św. Huberta wiedzą dobrze, że myśliwego na polowaniu prześladuje albo kompletny pech, albo absolutne szczęście. Wiedzą też o tym, że dobre i złe passy trwają czasem kilka dni, a czasem całymi latami.

Nie zdziwiłem się zatem zupełnie, że już następnego ranka miałem znów kapitalnego dwunastaka na łatwy i wygodny strzał.

W ciągu dnia doszedłem do przekonania, że wena obraziła się na mnie za niewykorzystane rano spotkanie i skończyła się bezpowrotnie, bo najprzód prześlicznie spudłowałem do stada dzików na zaimprowizowanym przy niedzieli polowaniu z psami, a wieczorem, wybierając się do kniei, stłukłem, służące mi wiernie od czterech lat, szkło do wabienia.

Zmartwienie z tego powodu musiało się tak wyraźnie malować na mojej twarzy, że zwróciło uwagę pani nadleśniczyny.

— Dlaczego pan taki markotny?

— Stłukłem szkło.

— Jakie znowu szkło?

— No, szkło od lampy. Szkło do wabienia.

— Myślałam, że się naprawdę coś stało, ale poszukam, może znajdziemy coś odpowiedniego.

Wszystkie szkiełka od domowych lamp, dziesiątek czy ósemek, okazały się jednak za małe, nie nadające się na instrumenty wabiarskie.

— Poszukam jeszcze na strychu — oświadczyła pani domu na zakończenie.

I tam znalazło się szkło, ale dziwacznego kształtu, wysokie, ze zgrubieniem na końcu, podobne do tłuczka, używanego do ubijania ziemniaków, szkło od jakiejś poniemieckiej, zapomnianej i zepsutej lampy spirytusowej czy benzynowej. Na oko cylinder ten podobał mi się nie bardzo, ale cóż robić. Spróbowałem zawabić i... zdębiałem.

Wieczorem musiały zdębieć również jelenie, podniecone przybyciem nowego, nieznanego im rywala, bo w całym lesie rozpoczęło się oszalałe i nie milknące długo w noc rykowisko.

Odezwały się chyba wszystkie byki: i ten znajomy jeszcze z zeszłego roku o krowim zupełnie głosie dwunastak, i ten ryczący bez przerw jak nakręcona maszynka, wysokorogi dziesiątak, i ten tajemniczy, z rzadka tylko mruczący i nie opuszczający nigdy kwadratu gęstego zagajnika, stary gracz i cwaniak; i jeszcze nieznany, zacinający się z lekka w ryku jąkała, i jeszcze jeden za drutami, odzywający się bez przerw po nocach, a milknący z pierwszym pobrzaskiem dnia.

Odezwały się też nad granicą Pup dwa ciągnące na rykowisko byki, o głosach dźwięcznych jak organy i kilka innych, przybywających z nad jeziora Syzdroj, z których najgrubszy grzmiał wspaniałym basowym porykiem, idącym jakby z głębokiej studni.

Rankiem bojowe głosy jeleni przewalały się w dalszym ciągu nad lasem we wszystkich kierunkach, podobne pomrukom nadciągającej burzy, a gdy o brzasku płowy zwierz zaczął wędrować pod wiatr do swych ostoi, udało mi się zrobić przegląd prawie wszystkich ryczących byków. A ponadto, kiedy postękując na szkle samograju, stałem na pobrzeżu szerokiej linii ogniowej, serce mi rosło na widok młodzieży i szpiczaków, ósmaków i dziesiątaków, ciągnących ostrożnie rudlami do gęstych zagajów. Dziwiła mię też i radowała siła, masa i kształt wieńców tych naprawdę przyszłościowych byczków.

Dziś, w czwartym roku gospodarki polskiego leśnika w lasach mazurskich, śmiało można powiedzieć, że



... ryczę pełnym głosem starego, rozjuszonego byka...

najpiękniejsza perła tych lasów i najwspanialszy jednocześnie jeleń polskich kniei, nie zmarnieje i nie zginie. Podnieść też należy, że łowieckie oko dyrektora Nowaka tuczy byki, a praca i oddanie wielu nadleśniczych, kochających nie tylko las, ale i pięknego zwierza, wydają pożądane owoce.

Lecz jeleniowi na Mazurach zagraża niebezpieczeństwo niespodziewane i nieznane na tych ziemiach od lat dziesiątków. Niebezpieczeństwem tym są wilki.

Wiemy dokładnie jak duże szkody w szeregach jeleni uczyniły wilki w terenie znacznie trudniejszym, tj. w Karpatach.

Dlatego też fladry powinny się w tym roku bezwzględnie znaleźć na Mazurach. Polski Związek Łowiecki musi o pomoc w tej sprawie zapukać do Ministerstwa Leśnictwa. Białowieża posiada jakoby cztery komplety sznurów, posiada też fachowych tropicieli. A więc...

Pupy wąskie i szerokie.

Przed południem, w myśl eksportowych okólników Spółdzielni „Jedność Łowiecka", ładuję tuszę jelenia do towarowego wagonu na stacji Pupy Szerokotorowe.

Proszę się w tym miejscu znowu nie uśmiechać. Nazwa stacji jest bowiem urzędowa. Kpinek żadnych nie wolno zatem robić pod rygorem...

Dla informacji podaję, że po drugiej stronie torów stoi drewniana budka, to również zatwierdzona w dzienniku urzędowym stacja — Pupy Wąskotorowe. Więc gdzie kto woli, więc jak kto woli...

My, nolens volens, musimy woleć „Szerokie", gdyż mają one bezpośrednie połączenie do Gdyni, gdzie mieści się chłodnia i zamrażalnia. Z „Wąskich" zaś można jechać tylko do Myszyńca.

Miejscowi kolejarze opowiadają nam, że przed wojną szedł tą wąskotorową linią wielki ruch graniczny za lokalnymi przepustkami. Kurpie jechali masowo do Prus za słoniną, masłem i wędliną, a Mazurzy znów odwiedzali gremialnie kraj nad Orzycem, w celu zakupu słoniny, masła i kiełbasy.

Działo się tak, pomimo że wschodnio-pruskie bydło zalegało zmeliorowane łąki, a wykładane biało-niebieskimi kafelkami masarnie dziś jeszcze można obejrzeć w każdej, najbardziej zapadłej w lasach wioszczynie. Na zakończenie ceremonii urzędowych, związanych z wysyłką dziczyzny, chcę zrobić fotografię jelenia na wadze kolejowej przed budynkiem stacyjnym, z budującym napisem „Pupy", a to dla zilustrowania mych wspomnień jeszcze jednym zdjęciem. Niestety, dziarski, granatowy strażnik kolejowy zabrania kategorycznie nawet wyjęcia Leici z samochodu.

Ha, trudno! Pupy — tajemnica urzędowa.

* * *

Po obiedzie zabieram się do gotowania i czyszczenia czaszki dwunastaka. Profesor odwiedza mnie niespodziewanie przy tej robocie.

— Nie lepiej to oddać Łastowskiemu w Warszawie do spreparowania?

— Robi mi przyjemność ta praca.

— Żeby chociaż miał pan porządny nóż.

— Dokończę tym kuchennym kozikiem.

— Strasznie pan zażarty.

— A panu profesorowi trochę zazdrość, co? — odcinam się.

Towarzysz mój odchodząc, zostawia mi, pomimo przygadywań, swój nowy, pięknie oprawny w jeleni róg nóż myśliwski.

Widziałem kapitalnego czternastaka.

Wczoraj padał deszcz, dziś od samego rana jest biały mróz. Szron srebrzy pola, halizny i zręby. Zmarznięte wrzosy chrzęszczą pod nogami, na wąskich lusterkach wody w koleinach leśnej drogi szkli się po raz pierwszy w tym roku cieniutka tafelka lodu.

Pomimo chłodnej, idealnej aury na jelenie gody, rykowiska nie ma dziś zupełnie. Najwidoczniej wilki znów przeszły przez środek rewiru, płosząc czujne łanie i odbierając bykom chęć do oznajmiania głosem swych stanowisk.

W kniei, choć dziwnie pustej i głuchej bez jelenich poryków, jest tak pięknie, że włóczę się po znajomych uroczyskach blisko do ósmej. Liczę na jakieś niespodziewane spotkanie i słucham jesiennego toku cietrzewi na pokrytych wrzosem piaszczystych wzgórzach.

Słońce wznosi się coraz wyżej nad lasem, zaczyna mocno przygrzewać. Szron schodzi więc szybko ze zrębów i polan, trzymając się jeszcze gdzieniegdzie kurczowo — zaciemnionych ścianą leśną miejsc.



Resztki linii Hindenburga *fot. Z. Kowalski*

Robi się ciepło. Nastroszone igiełki sadzi skapują z drzew na wrzosy kropelkami wilgoci.

Wypatrując, wędruję powolutku liniami. Nasłuchuję i znów idę dalej. Nagle krótki pomruk byka każe mi przystanąć w miejscu, znieruchomieć.

Byk jakby ziewał znudzony w gąszczach raz i drugi. Zaczynam się więc krok za krokiem posuwać w jego kierunku. Piaszczyste burty, biegnącego środkiem drągowiny rowu strzeleckiego, tłumią szelest moich kroków. Dobrze jest.

Wreszcie na brzegu, zieleniejącego w środku gołoborza dziesięcioletniego zagaju, dostrzegam dwie łanie. Nie zwlekając, przepatruję przez lornetkę każdy zakątek lasu, wyszukując luk między pniami. Przesuwam się dwa kroki w bok i znów wytężam oczy.

Jest byk. Stoi jak posąg, schowany po barki w sosenkach. Wieniec, siwy łeb i grzywiastą szyję widzę dokładnie w pełnym słońcu.

Kapitalny czternastak. Ale jaki kapitalny, jaki gruby w tykach, jaki łopaciasty w koronach.

Na strzał jest jednak za daleko, luczki między drzewami są naprawdę bardzo wąskie, a jeleń stoi znów, jakby nie umiał inaczej, na sztych.

Wabić nie mam odwagi, łanie są zbyt blisko, zbyt jasny też dzień i zbyt jestem chyba widoczny w gołoborzu.

Łanie podchodzą tymczasem coraz bliżej.

Wiatr jest zły, mogą poczuć; jedyne wyjście to jak najciszej wycofać się — lub strzelać.

Byka tego znam jednak dobrze ze słyszenia, pomrukuje bowiem w tym zakonspirowanym zagajniku od kilku dni co ranek i wieczór. Stukam się w myślach w palce i decyduję odejść. Co prawda to odmaszerowuję pełen jak najlepszych myśli na najbliższy wieczór.

Potem nadbiegają refleksje czy dobrze zrobiłem, wstrzymując się ze strzałem? Strzał ten był co prawda niepewny, ale spotkanie z tak tęgim bykiem może się już drugi raz w życiu nie powtórzyć. Łamię się z myślami przez całą powrotną, długą drogę do nadleśnictwa.

— Pochwalam pana powściągliwość, nigdy nie wolno ryzykować wątpliwej kuli — mówi profesor J.

— Nie mam tego byka w ewidencji, to jakiś przybysz, już pan go więcej nie zobaczy — konstatuje inżynier Bella.

Wobec tej rozbieżności zdań staję się zły jak osa i idę spać.

* * *



... tyki grubości ramienia mężczyzny ... *fot. Z. Kowalski*

Po krótkim, dwugodzinnym odpoczynku zaczynam się gwałtownie ubierać. Muchy bowiem spać nie dają i to zarówno te domowe, rozbudzone ciepłym dniem, jak i te jelenie, przyniesione z lasu.

Jest bardzo ciepło. Ubieram się więc przy szeroko otwartym oknie i wtedy też dopiero poznaję, że widok z naszego pokoju zmienił się zupełnie po ostatnich przymrozkach. Zielona w dniu przyjazdu klonowa aleja, która biegnie od nadleśnictwa ku szosie, pokryła się jesiennym złotem. A ściana dalekiego lasu barwi się teraz wszystkimi kolorami karminu, cynobru, brązu i śniedzi. Brzozy stały się przejrzyste, jesiony zrzuciły zielone jeszcze listowie, buki poczerwieniały, a dęby pokryły się jakby wyciętymi z miedzianej blachy sztywnymi, pokręconymi liśćmi. W ciągu czterech dni naszego pobytu nadeszła bezgłośnym krokiem, niespodzianie jesień.

Kiedy nad wieczorem jedziemy do kniei, szosa pokryta jest jakby puszystym, różnokolorowym dywanem, szeleszczącym pod kołami Jeepa, jak suchy piasek. Ledwo uchwytny ostry chłód przenika lodenowy płaszcz. Wokół pachnie przewiędłym liściem i pociąga jakby morskim, słonawym powiewem od jeziora

Tego wieczoru przeżywam ciekawą przygodę. Zostaję bowiem na podsłuchach, obsadzony przez znajomego, kapitalnego czternastaka, jak kiedyś na zapadach przez głuszca, który zasiadł nad samą głową

A stało się to tak.

Byk ryczy z początku głęboko w zagaju. Im bardziej jednak ciemnieje, tym bliżej podsuwa się za łaniami ku miejscu mojej zasiadki na rowie, tym gwałtowniej porykuje i biega tam i z powrotem

A potem, kiedy noc już zapada kompletna i gwiazdy wyiskrzają się, wróżąc poranny przymrozek, rudel zbliża się na kilkanaście kroków.

Byk szaleje, łamie wieńcem suche sosenki, odgraża się podchodzącemu od drutów rywalowi, odgraża się całemu światu, tupocze, biega tam i z powrotem, wreszcie pokrywa łanie.

W siedmiokrotnym zeissowskim binoctemie widzę to wszystko dosyć wyraźnie. W lunecie jednak plama byka ledwo szarzeje. O strzale nie ma więc mowy, choć ostry swąd jelenia zalatuje raz po raz, a gałęzie trzaskają tuż, tuż, o kilka zaledwie kroków.

Koło godziny dziesiątej wycofuję się wreszcie z pod jelenia. Idę powoli i ostrożnie, a z takim napięciem nerwów, że wychodzę na linię mokry od potu.

Miał jednak rację profesor J. — cierpliwością wypracuję sobie chyba tego czternastaka.

Zobaczymy zresztą co ranek przyniesie.

Jeszcze o czternastaku.

A jednak rację miał, zdaje się, nadleśniczy.. Rankiem czternastak milczy jak zaklęty. Pewnie wyniósł się z powrotem na Pupy.

Noc jeszcze ciemna. Siedzę znów na burcie rowu strzeleckiego, gdzie wczoraj obsadził mnie jeleń i czekam. Jeleń milczy, a ja nie wiem zupełnie co robić Na wabia i ewentualny strzał jest jeszcze za wcześnie. a odchodzić i szukać innego byka, nie mam, mimo wszystko, zamiaru. Poczekam zatem do świtu i zacznę wabić, kiedy się na dobre rozjaśni. Bo. a nuż byk pozostał w zagajniku.

Gwiazdy migocą coraz jaśniej, jak zwykle o brzasku. Gdzieś daleko za sosną porykują jelenie. Nad lasem świszczą skrzydłami ciągnące w różnych kierunkach kaczki: z jeziora Brabant na Babięty, z Babięt na Syzdrój, z Syzdroju znowu na Brabant. Przelatują bezgłośnie dwie, potem trzy słonki. Niedługo będzie już dzień.

Byk milczy uparcie, najwidoczniej nie ma go już w 57. oddziale. Tracę nadzieję zupełnie.

Wreszcie wnętrze lasu zaczyna nasiąkać popielatym brzaskiem przedświtu, a potem powolutku wypełnia się błękitnawym światłem poranku.

Gdzieś niedaleko w zagaju trzaska raz i drugi gałązka. Jeszcze chwilka oczekiwania, ryczę pełnym głosem rozjuszonego starego byka.

W odpowiedzi w zagaju jeleń trzaska wieńcem o gałęzie, potem zapędza z chrapliwym stękaniem łanie w głąb lasu.

Ryczę więc znowu jeszcze gniewniej i natarczywiej

Czternastak, napewno ten mój czternastak, odpowiada teraz na każde zawabienie jak echo na głos, niezawodnie i coraz bliżej.

— Ech! ech! ech! eech...

Nie zdążyłem doryczeć zwrotki do końca, kiedy nagły łomot, niby prującego las w moim kierunku czołgu, kazał mi rzucić szkło na mech. Jednocześnie nie dalej jak o piętnaście kroków wylatuje rozjuszony byk z gęstego zagaju wprost na mnie.

Przez ułamek sekundy widzę wyraźnie wzniesiony ku górze gruby, sękaty wieniec i zawisłe wysoko w powietrzu w skoku wszystkie cztery nogi, podobnie jak u konia na kossakowskim obrazie szarży.

Z przyrzutu, prawie z pod pachy, palę wprost w kłaczastą, lwią grzywę zwierza. A byk, nie zmieniając tempa, przesadza wysokimi susami linię o dwa metry ode mnie, aż odpryski żwiru sieką mię w twarz, a warujący akurat na drodze ucieczki jelenia Lord, wpada mi ze skomleniem pod nogi.

Nie zdążyłem jeszcze zacząć się martwić o chybioną na tę metę kulę, kiedy w zagaju za linią, gdzie byk zginął, ciężki łomot oznajmił o przewróceniu się byka, a kilka urywanych trzaśnięć badylami doniosło o jego śmierci.

Puszczam, nie zwlekając, Lorda na otoku i zagłębiamy się w sośniaki. Pies rwie się naprzód ostro po znaczonym farbą śladzie, ja zaś czołgam się za nim gąszczarem prawie na czworakach. To też smycz raz po raz okręca się wokół pni, to znów zaczepia się o gałęzie. Posuwamy się mozolnie naprzód.

Wreszcie czuję już wyraźnie zalatujący piżmem charakterystyczny zapach jelenia w czasie rykowiska. Byk musi gdzieś niedaleko leżeć, muszę go też zaraz dojrzeć, bowiem gęsty zagaj przerzedza się i nieco dalej przechodzi w drągowinę.

Nagły łomot i trzask każą mi chwycić za broń. Jednocześnie Lord zrywa się ze szczekaniem za wstającym bykiem, oplątuje mnie smyczą i podcina mi nogi. Kiedy mam wreszcie broń przy twarzy — jest już za późno na pewny strzał; zresztą strzał byłby — zdaje się — niepotrzebny.

Jeleń bowiem, widoczny jeszcze w drągowinie, przechodzi w kłus, chwieje się, załamuje zadem, aż wreszcie wali z łomotem między pniaki i chrusty.

Podbiegam, a jednocześnie dochodzi do mojej świadomości, że wieniec byka nie spoczywa jeszcze spokojnie na boku, że widać obie, a nie jedną tylko tykę. Jeleń zatem jeszcze żyje.

Spokojnie zawracam i idę do samochodu. Będę tu znów za godzinę. Nie dam się po raz drugi ponieść nerwom jak przed chwilą. Co prawda zdawało się wtedy, że przy sztychowym, tak bliskim strzale, może być albo pudło, albo zwierz przeszyty jest kulą na wskroś śmiertelnie.

* * *

Słońce stoi wysoko, kiedy we trzech, z profesorem i Cylcem, wracamy po zdobycz.

Z daleka przyglądam się tykom przez lornetkę, chcąc ocenić jakość wieńca. Dziwna historia. Wieniec wzniesiony jest ciągle ku górze. Trzeba więc jeszcze zaczekać.

Po upływie następnej godziny decydujemy podchodzić, choć jeleń nie leży jeszcze na boku. Trzeba go bowiem dobić, oszczędzić cierpienia.

Cylc idzie z psem pośrodku. My obaj, ze strzelbami gotowymi do strzału, po obu stronach leśniczego.

Jeszcze kroków pięćdziesiąt, dwadzieścia, dziesięć. Ale ostrożności są już niepotrzebne, byk dawno nie żyje. Padając wbił głowę pomiędzy dwa pniaczki, tak mocno, że wieniec nieruchomy musiał sterczyć groźnie ku górze i pozostałby w tej pozycji długo.

Wieniec czternastaka jest kapitalny, pięknie uperlony, o ciekawej formie odnóg: nadocznej i opieraka, wyrastających z tyki, w kształcie łosiej łopaty. Wysokość tyk wynosi równo po 98 cm.

Zanotować jeszcze w tym miejscu trzeba fakt, że jeleń przeszyty był 8 mm halfmantlem od tchawicy do tylnej szynki — kula przeszła też przez serce. Pomimo tego byk potrafił wstać i przejść w sumie ponad 300 kroków.

Jak wyglądało potem ładowanie we trzech byka, ważącego blisko 200 kg, na wysokiego i nieporęcznego Jeepa, jak trzeba było wyrąbywać sosenki, zagradzające drogę samochodowi, jak karczowaliśmy pieńki, zaczepiające o spód podwozia, wolę nie pisać. Bowiem dyrekcja lasów państwowych mogłaby nam później wystawić słony rachunek za zniszczenie zwarcia w 57 oddziale leśnictwa Łączek, ja musiałbym się przyznać ile kosztował nowy wał kardanowy i wymiana resoru w samochodzie, a profesor może wolałby nie zdradzać przed swoim konsyliarzem jak bardzo dyszał po zakończeniu nieudanego załadunku.

Ostatecznie trzeba było byka wyciągnąć parą koni łańcuchami za łeb aż nad jezioro, a potem przewozić łodzią do nadleśnictwa.

Zabity byk jest odmiennego typu od sobotniego i reprezentuje drugą odmianę jelenia, występującą na Mazurach. Jest to wielkie, żółto-rude bydle o lwiej grzywie i potężnej budowie ciała. Waży powyżej 200 kilogramów.



... profesor przyklęknął przy jeleniu ... *fot. Z. Kowalski*

Po śniadaniu drugi byk jedzie na stację Pupy Szerokotorowe, a ja zabieram się od początku do oczyszczania nowego czerepu z mięsa, skóry i chrząstek

Profesor znów żartuje z mojej pracy:

— Też ma pan zdrowie!

Tym razem nie odcinam się, bo właśnie przed chwilą pożyczony przez profesora piękny nóż myśliwski mocno wyszczerbiłem na jeleniej szczęce.

Zakończenie czyli dwa lata polowania na jednego jelenia.

Profesor J. zabił dziś nareszcie byka. Nie, wyraz „nareszcie" użyty jest zupełnie niestosownie.

Profesor J. zabił dziś byka, czternastaka.

Nie wiem, co bardziej podziwiać: czy tyki grubości ramienia mężczyzny, czy kielichy w koronach tak głębokie, że możnaby je napełnić winem jak puchar, czy wreszcie prawdziwie łowiecką pasję i zacięcie sportowe profesora, który szukał spotkania z tym bykiem przez osiemnaście dni, z czego dziesięć w roku ubiegłym, a osiem w bieżącym.

To też wielkie i prawdziwe wzruszenie łowieckie przeżyłem, wręczając profesorowi w pogodny poranek

w 81. oddziale leśnictwa Kobiel — złom świerczyny. Zabity byk ma suknię ciemno-kawową z kasztanowatą pręgą przez grzbiet, poza tym jest niezbyt duży, o rzadkiej grzywie, typu wysokonogiego. Wysokość prawej tyki 115 cm, lewej 114 cm.

* * *

Godzina jest poobiednia. Cienie kładą się po ziemi wydłużone i ostre, plamy słońca na runie leśnym i trawach jaśnieją, stają się jakby płowe.

Robi się chłodno.

Trzeba kończyć wypoczynek w ulubionym miejscu nad jeziorem i iść, by przygotować Jeepa do drogi powrotnej.

Patrzę raz jeszcze na dalekie, błękitne rozlewy.

Tafla jeziora wygładzona jest matczyną dłonią ciszy. Woda na płyciznach przy brzegach mieni się seledynem, ku środkowi jeziora ciemnieje szmaragdową głębią.

No, dosyć. Trzeba ruszać do samochodu.

Kiedy wychodzę na ganek nadleśnictwa widzę, że profesor przyklęknął przy zabitym jeleniu i zabawia się wyłuskiwaniem grandli ze szczęki.

— Czy nie lepiej byłoby oddać to do zrobienia Łastowskiemu? — pytam.

— Wolę nie, jeszcze zginą gdzieś w drodze do Warszawy.

— Ale ma pan zdrowie, profesorze — kończę z uśmiechem.

— Zresztą przyjemna jest ta robota — odpowiada też z uśmiechem profesor J.

* * *

Rozkład mamy wspaniały, tym bardziej, że mój towarzysz łowów, zgodnie z prawem serii myśliwskiego szczęścia, kładzie jeszcze z pod psów w ogniu dobrego odyńca, o wadze blisko 200 kilogramów.

Tak! Wszystkich wyznawców Św. Huberta prześladuje na przemian pech albo szczęście. Profesor J. miał pecha przez trzy lata, aż do 2 października bieżącego roku. Ale w tym właśnie, że wielkie radości przeplatane są gorzkimi zawodami, leży prawdziwy urok przygody myśliwskiej.

Zbigniew Kowalski.



... Rozkład nasz jest wspaniały ... *fot. Z. Kowalski.*

Inż. JULIAN BOHUSZ.

ZAGADNIENIE SZKÓD ŁOWIECKICH

Z chwilą, gdy zwierzyna, przestając być obiektem tylko eksploatacji, staje się przedmiotem hodowli w kulturalnym łowisku, wylania się problem stosunku tej zwierzyny do środowiska, w jakim przebywa. Zwierzyna znaleźć musi w łowisku naturalne podstawy swego bytowania, więc schronienie i wyżywienie. Warunki przy tym układają się różnie, w zależności od zamożności łowiska i liczebności danego gatunku zwierzyny. Abstrahując od czynnika sztucznego dokarmiania, przyjąć należało by za zasadę, że łowisko winno wyżywić zwierzostan samodzielnie, bez ingerencji człowieka. Tak winny układać się stosunki w warunkach naturalnych, ale tak stan rzeczy prawie nigdy nie wygląda.

Przyczyny naruszenia równowagi biocenotycznej łowisk leżą zawsze w działalności człowieka, która przeinacza warunki przyrodzone, zarówno przez zmianę szaty roślinnej, stanowiącej źródło karmy dla zwie-

rzyny, jak składu gatunkowego i pogłowia zwierzostanów. W zmienionych warunkach zwierzyna musi żyć i wykarmić się, wchodząc w konflikt z interesami gospodarczymi człowieka. Zwierzyna, a ściślej mówiąc pewne jej gatunki, poczynają wyrządzać dotkliwe szkody w gospodarstwie polnym i leśnym.

W kulturalnym łowisku hodowlanym jest zjawiskiem nieuchronnym rozbieżność interesów gospodarza gruntów, na których zwierzyna żyje oraz myśliwego-hodowcy. Skutki tej rozbieżności nie ujawniają się jedynie wówczas, gdy hodowcą zwierzyny jest właściciel lub gospodarz terenu. W naszych jednakże warunkach podstawową formą gospodarki łowieckiej będzie wydzierżawiony obwód łowiecki. Dlatego też rozwiązanie omawianego tu zagadnienia, tj. pogodzenia interesów gospodarstwa rolnego, leśnego i łowieckiego, jest problemem kapitalnym dla odbudowy i rozwoju naszego łowiectwa.

Nikt dziś kwestionować nie może znaczenia łowiectwa w zespole zagadnień gospodarczych kraju, ani korzyści, wynikających z jego rozwoju. Pewnik ten był już przedmiotem dyskusji w czasach przedwojennych. Obowiązujące prawie w całej Europie ustawodawstwo łowieckie usiłuje w sposób mniej lub więcej doskonały chronić i godzić interesy gospodarki łowieckiej i rolnej. Wyrazem tych usiłowań są w ustawodawstwie łowieckim różnych krajów rozdziały, traktujące o szkodach, czynionych przez zwierzynę w plonach gospodarstwa rolnego, o odpowiedzialności i wynagrodzeniu tych szkód.

Nasza ustawa łowiecka w podobny sposób ujmuje sprawę szkód, czynionych przez zwierzynę. Ustawa przekłada przy tym odpowiedzialność odszkodowawczą za jelenie i dziki na użytkowników obwodów łowieckich, w których zwierzyna, czyniąca szkodę, ma ostoję.

Nie chcę tu wchodzić w szczegółową analizę sposobu rozwiązania sprawy przez ustawodawstwo nasze jak i innych państw Europy. Chciałbym jedynie spojrzeć na omawiane zagadnienie z najszerszej perspektywy. Chciałbym mianowicie zastanowić się czy obowiązujące normy prawne czynią zadość potrzebie. Wydaje mi się, że w świetle niżej wysuwanych postulatów — nie.

Normy prawne w zakresie uregulowania zagadnienia szkód, czynionych przez zwierzynę, winny, moim zdaniem, przy uwzględnianiu interesów gospodarstwa rolnego, leśnego i łowieckiego: 1) zapobiegać nadmiernemu nasileniu szkód; 2) stworzyć taki system odpowiedzialności odszkodowawczej, który czyniłby tę odpowiedzialność znośną dla użytkownika łowiska.

Szkody w poważniejszym rozmiarze występują tam, gdzie liczebność zwierzyny przekracza możliwości wyżywienia naturalnych warunków łowiska. Stąd wynikałaby kardynalna zasada, że w każdym obwodzie łowieckim skład gatunkowy i liczebność zwierzostanu nie powinny być dziełem przypadku ani nieograniczonych starań hodowcy, ale wynikać z planu hodowli i odstrzału. Plany zaś gospodarczo-łowieckie winny uwzględniać wyżej podniesioną zasadę równowagi biocenotycznej łowiska, określając najwłaściwsze normy dla zabiegów hodowlanych.

Tego rodzaju planowość gospodarki łowieckiej winna być zawarowana postanowieniami ustawy. Planowym winien być zarówno odstrzał zwierzyny jak i optymalna dla danego łowiska liczebność pogłowia. O ile mi wiadomo, żadna z istniejących obecnie ustaw łowieckich Europy nie ujmuje zagadnienia hodowli zwierzyny z tego punktu widzenia. Na ogół ustawodawstwo łowieckie zawiera jedynie różnorodne postanowienia, mające na celu ochronę zwierzyny przed niszczycielskimi zakusami człowieka z jednej strony, a ochronę interesów rolnika — z drugiej. Nie chroni ono natomiast interesów gospodarstwa narodowego, nie usuwając przyczyny powstawania szkód. Dla gospodarstwa narodowego bowiem miarodajny jest fakt powstania szkody, którego znaczenia nie zmieni okoliczność czy odszkodowanie zostało komuś wypłacone, czy nie.

Rzecz oczywista, że planowość hodowli i odstrzału ma różne znaczenie dla różnych gatunków zwierzyny z punktu widzenia wyrządzonych przez tę zwierzynę szkód. Najistotniejszy będzie problem w odniesieniu do gatunków, wyrządzających szkody najdotkliwsze, tj. jelenia i dzika. Za te jedynie gatunki zwierzyny nasza ustawa łowiecka przewiduje obowiązek odszkodowania. Cały szereg gatunków zwierzyny, a przede wszystkim zwierzyna drobna, jest z punktu widzenia szkód, czynionych w polu, bez znaczenia. Nie można jednakże twierdzić, że taki pogląd na szkodliwość zwierzyny, usankcjonowany dzisiejszym ustawodawstwem, będzie panował zawsze. Stan rzeczy może ulec dużej zmianie, zarówno na skutek intensywnego rozhodowania zwierzyny, jak i wzięcia pod uwagę, że zwierzyna wyrządza szkody nie tylko w gospodarstwie rolnym, ale i leśnym, o czym dziś się na ogół mało pamięta.

Z powyższych też względów uważam zasadę planowości gospodarczo-handlowej za obowiązującą w stosunku do wszelkich gatunków zwierzyny.

Nie chcę twierdzić, że racjonalne rozmieszczenie i nasilenie liczebności zwierzyny w łowiskach, jakie winny być wynikiem realizacji tej zasady, mogą spowodować całkowite wyeliminowanie szkód ze strony zwierzyny, ale muszą, moim zdaniem, stanowić czynnik zapobiegawczy, ograniczający rozmiar tych szkód.

Drugim i odrębnym zagadnieniem jest sprawa odpowiedzialności za szkody i system odszkodowań. Ustawa nasza, jak wspomniałem, sprowadza tę odpowiedzialność do szkód wyrządzanych przez jelenie i dziki, i wyłącznie w stosunku do użytkowników łowisk, obsadzonych tą zwierzyną. Takie postawienie sprawy jest może zgodne z formalno-prawnym punktem widzenia, nie wydaje się jednakże właściwe dla całokształtu interesów gospodarki łowieckiej.

Rozważając powyższe zagadnienie, winniśmy przyjąć następujące pewniki, jako ilustrację stanu rzeczy w terenie:

a) że jelenie i dziki wyrządzają i zawsze w mniejszym lub większym stopniu będą czyniły szkody w gospodarstwie rolnym i leśnym;
b) że obowiązek odszkodowań obciąża w tym stopniu użytkowników łowisk, obsadzonych wymienioną zwierzyną, iż stanowi on czynnik odstraszający od wydzierżawiania takich łowisk i tłumiący inicjatywę hodowlaną;
c) że szerokie rzesze myśliwych wolą zakupywać indywidualny odstrzał jeleni, a nawet dzików niż prowadzić hodowlę we własnych łowiskach i ponosić ciężar odszkodowań.

Materiał dowodowy dla powyższych spostrzeżeń da

je w dostatecznym zakresie gospodarka łowiecka lasów państwowych, które wypłacają corocznie kilkadziesiąt milionów złotych odszkodowań za dziki i jelenie, dysponując stale dużymi obszarami łowisk z tą zwierzyną do wydzierżawienia, na które brak reflektantów.

Hodowla i rozpowszechnienie jelenia oraz dzika we wszystkich odpowiednich łowiskach, leży w interesie gospodarstwa narodowego, a także całego świata łowieckiego. Wychodząc z powyższych przesłanek twierdzę: że problem szkód od zwierzyny winien być potraktowany i rozwiązany w skali ogólnopaństwowej, nie zaś, jako sprawa w pewnym sensie osobista jej hodowców; i że ciężar odszkodowań winien rozkładać się w pewnej mierze na ogół użytkowników i właścicieli łowisk, a nie tylko na uzytkowników łowisk z ostoją jeleni i dzików.

Realizację powyższych postulatów widzę we wprowadzeniu powszechnego obowiązku ubezpieczenia od szkód, wyrządzanych przez zwierzynę wszystkich obwodów łowieckich w Państwie, bez względu na rodzaj obwodu i hodowanej w nim zwierzyny. Powszechny obowiązek ubezpieczenia winien być realizowany na wzór ubezpieczenia od ognia lub gradu. Winna być powołana jedna instytucja, do której należało by przeprowadzenie ubezpieczeń łowieckich. Winien być opracowany jednolity regulamin ubezpieczeniowy, określający procedurę ubezpieczenia, obliczanie składek, szacowanie szkód i wypłatę odszkodowań.



Łopatacz zaniepokojony... *rys. S. Rozwadowski*

Tego rodzaju forma i regulamin ubezpieczenia przyniosłyby tę jeszcze dodatkową i poważną korzyść, że usuwałyby całą skomplikowaną procedurę postępowania rozjemczego i sądowego w sporach o odszkodowanie. Autorytet instytucji ubezpieczeniowej gwarantowałby bezstronną i realną ocenę istotnej wysokości

szkód, co jest dziś powszechnym dezyderatem płatników odszkodowań.

Jak wspomniałem wyżej, zasadą omawianej koncepcji jest powszechność ubezpieczenia wszystkich obwodów łowieckich. Nie przesądza to możliwości pewnego zróżnicowania składek ubezpieczeniowych, w zależności od rodzajów łowiska oraz zwierzyny i wynikającego stąd prawdopodobieństwa szkód.

Udział w składce ubezpieczeniowej winien ponosić właściciel i użytkownik łowiska wydzierżawionego, ewentualnie tylko właściciel, gdy obwód nie jest wydzierżawiony.

Przy takim rozwiązaniu sprawy, ciężar odpowiedzialności za szkody od zwierzyny może być proporcjonalnie rozłożony na wszystkich zainteresowanych w jej hodowli, a więc na ogół myśliwych i właścicieli terenów łowieckich. Tych ostatnich uważam jako zainteresowanych w równej mierze, a to ze względu na wzrost wartości obwodów w wyniku wyhodowania zwierzyny, zwłaszcza grubej. Dla właścicieli łowisk polnych widzę dużą korzyść w zapewnieniu egzekutywy przyznawanych im odszkodowań. Pewność tę, absolutną w stosunkach z instytucją ubezpieczeniową, nie zawsze dawał nawet wyrok sądowy, uzyskany przeciwko dzierżawcy czy właścicielowi łowiska, stanowiącego ostoję zwierzyny, czyniącej szkodę.

Myśli, rzuconych w niniejszym krótkim artykule, nie należy uważać za projekt skończony i wypracowany w szczegółach. Podaję je obecnie ogółowi myśliwych jako surową koncepcję, jako materiał do przemyślenia i dyskusji. Mając na uwadze spodziewaną nowelizację prawa łowieckiego, jestem zdania, że prawem i obowiązkiem ogółu myśliwych winny być wypowiedzi w kwestiach zasadniczych, które mogłyby posłużyć władzom Polskiego Związku Łowieckiego dla opracowania stanowiska i dezyderatów świata łowieckiego, względem zamierzeń legislacyjnych władz państwowych.

J. Bohusz.

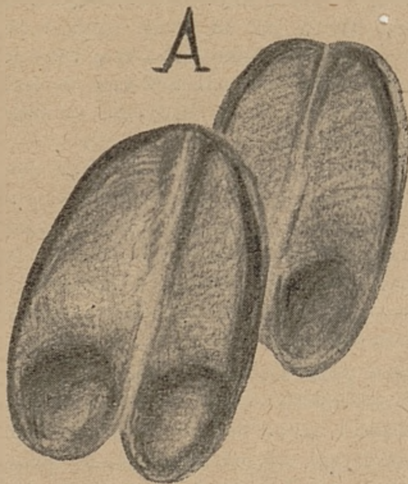
TADEUSZ ŚLIWIŃSKI

TROPY JELENI

(dokończenie).

Niektórzy początkujący myśliwi odnoszą się z niedowierzaniem do umiejętności odczytywania tropów. Jednak bez znajomości tropów lub przewodnika, znającego ostoję — spotkanie z jeleniem łownym może być tylko przypadkowe. Powierzchowne obejrzenie kilku tropów nie wystarcza do poznania sztuki ich odczytywania. Oprócz teoretycznych wiadomości i obserwacji widzianych sztuk, których tropu jesteśmy pewni, trzeba stale obserwować zwierzynę swego łowiska. Pod względem wielkości tropów dają się zauważyć w poszczególnych ostojach poważne różnice: to, co w jednym łowisku może być poczytywane na rzecz łownego byka, w innym może przedstawiać się inaczej. Na pierwszy rzut oka trop byka nie wiele różni się od tropu łani, gdyż różnice w budowie racic są minimalne. Dopiero bardziej szczegółowe obserwacje i drobiazgowe wystudiowanie poszczególnego tropu— pozwalają ustalić płeć i siłę zwierza. Dlatego też było by rzeczą wskazaną, by w pewnych większych kompleksach lasów, gdzie przebywają jelenie, pomiary tropów widzianej uprzednio zwierzyny były dokonywane systematycznie i—według szerokości, i długości, i w zależności od płci, i siły widzianego zwierza zestawione w tabelę. Może to mieć znaczenie praktyczne przy organizowaniu polowań i dawaniu odstrzałów na jelenie, gdyż często niepotrzebnie kieruje się myśliwych do rewirów, gdzie nie ma grubych jeleni, a na odwrót inne łowiska są zaniedbane. To samo odnosić się może i do przesmyków, przy których długo się czatuje, by wreszcie spotkać byka zbyt słabego do odstrzału. Ustalono w niektórych ostojach, że trop łownego byka w ruchu powolnym powinien być takiej szerokości, by można było pomiędzy ślad, tj. w tak zwaną miskę lub muszlę, umieścić trzy palce: wskazujący, długi i czwarty. Kąt, jaki między sobą tworzą osie tropów wzdłuż linii grzbietowej, jest również cechą charakterystyczną i im kąt ten jest większy, tym byk jest silniejszy. Gruby byk rozstawia biegi szeroko, wierzchołkami od środka, cokolwiek podobnie jak kaczka i przez to kąt ten będzie znaczny, podczas gdy kąt osi tropów młodej łani będzie bardzo nieznaczny, prawie żaden.

Tropy jelenia wskazują zawsze na pewien kierunek ruchu, w którym zwierzyna ciągnie czy biegnie. Ten sam trop spostrzeżony o zmierzchu w jednym kierunku, a o brzasku w przeciwnym, będzie wskazówką, gdzie jeleń ma swe dzienne legowisko, a dokąd zmierza na żerowisko. Na gruncie twardym jeleń nie pozostawia odcisku całej racicy, lecz tylko nieznaczny, trudno dostrzegalny odcisk obrzeża.



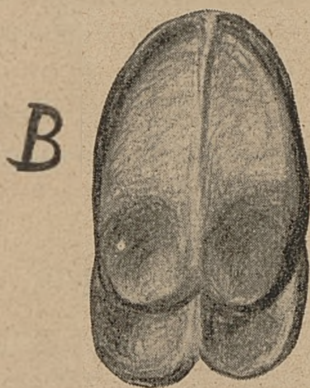
Trop skrzyżowany

Pomocnymi dla zorientowania się w przejściu byka na gruncie, gdzie ślad słabo jest widoczny — są obcierki wieńca wzdłuż przesmyku o drzewa, co daje się spostrzec przy pewnej wprawie, bowiem przechodząc przez gąszcz, łamie byk też suche gałęzie. Obijanie rogów o krzaki w okresie upasania, lub gdy gro-

zi rywalowi przed walką, jest także pewnego rodzaju oznaką.

W czasie wycierania wieńca, wskazówką siły byka są otarte do białości drzewa, a im grubsze są pnie drzew, z tym silniejszym bykiem można w danej ostoi się spotkać. Grubszy byk podobnie, jak wali wieńcem o krzaki, potrafi czasem ze swawoli lub grożąc, wyrywać kawały ziemi i podrzucać je w górę; takie wyrwane kawały darniny, mchu lub grudy wrzosowej świadczą o grubym byku, mającym koronę.

Jeleń po kąpieli w bagnie, wyciera swą suknię o drzewa i, jak się mówi, maluje drzewa; lecz byk oprócz tego wyciera swój wieniec z błota i to daje charakterystyczne, spostrzegalne koło bagnisk, obcierki. Jedną z fantazji byka jest rozrzucanie racicami



Trop o czterech jabłkach

mrowisk. Jeśli natkniemy się na legowisko jeleni w czasie rykowiska, to widzimy, że byk dla ochłodzenia rozgrzanego ciała stara się rozgarnąć racicami leśną ściółkę i mech, aby położyć się na wilgotnej, chłodniejszej ziemi, jak to latem robią wyżły. Łanie tego nie czynią i legowisko byka tym właśnie się różni od legowiska łań, jak również tym, że byk wstając podpiera się silnie jednym badylem, co daje głębszy trop, tzw. gwiazdowy.

Dla stwierdzenia przejścia byka przez pewien zbyt wydeptany przesmyk albo na twardym gruncie, niemieccy leśnicy zalecają wbijanie obok przesmyku tyki, osmarowanej smołą drzewną. Jeleń o takie tyki obciera zwykle poroże i pociera szyję, a gdy tyka zbyt lekko siedzi w ziemi, to rogal wyrywa ją przy wycieraniu wieńcem.

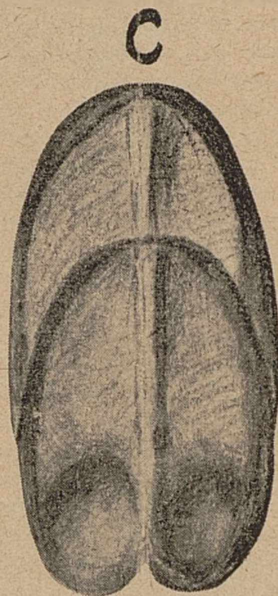
Aczkolwiek duża wielkość tropu, jak przytaczaliśmy to wyżej, znamionuje silnego byka i trop o maksimalnych wymiarach może należeć do kapitalnego jelenia, to jednak pod tym względem można się zawieść, gdyż wsteczniaki mają również bardzo wielkie tropy. Zabicie jednak jelenia wstecznego jest dla myśliwego, zwłaszcza hodowcy, pierwszorzędnym sukcesem i dlatego podejście i zabicie go, choć często nie daje jako trofeum pięknego wieńca, to jednak może być uważane za wielką i rzadką zdobycz.

Myśliwi jeszcze w zeszłym stuleciu twierdzili, że istnieją 72 oznaki, za pomocą których można odróżnić trop byka od tropu łani. W nowszych czasach ilość ta została zredukowana do 1/3. Należy jednak pamiętać o tym, że zwierzyna jest wytworem tego środowiska, w którym stale przebywa i dlatego różne zewnętrzne wpływy, a przede wszystkim twardość gruntu mają wpływ na wielkość i kształt tropu. Największe tropy można zaobserwować u jeleni, zamieszkujących stale bagniste miejscowości. Takie wielkie tropy napotkałem w niektórych bagnistych ostojach jeleni w Białowieży.

Z poszczególnych cech tropów jeleni należy zwrócić uwagę na głębokość tropu. Zazwyczaj już szpiczak ma jesienią trop zbliżony pod względem wielkości do średniej łani, a w drugim roku — trop równy starej łani. Szóstak zaś przeważnie ma trop bardziej wyrazisty aniżeli łania. Porównując tropy dwóch, idących obok siebie byków, możemy wysnuć z dużą pewnością wniosek, że większy i głębszy trop należeć będzie do grubszego byka; oczywiście ten mocniejszy trop może czasem pochodzić od wsteczniaka, a mniejszy od będącego w sile wieku dziesiątaka.

Wymiary i głębokość tropów zależne będą od ogólnej wagi byka. Inne tropy dawać będzie cherlak o wadze 100 — 120 kg, choćby był nawet czternastakiem, a zupełnie inne byk dziesiątak o wadze 200 do 240 kg. Z porównania byków ziem zachodnich, karpackich i białowieskich wnoszę, że najsilniejsze tropy zostawiają te ostatnie. Najsłabsze zaś tropy dają jelenie wielkopolskie.

Przyjechawszy na rykowisko do lasów starachowickich, stwierdziłem na wstępie, że tropy tamtejszych byków są duże, co potwierdziła też waga (około 200 kg), zabitych przeze mnie i przez innych myśliwych byków w tych lasach. Daje się również zróżniczkować forma tropu; bowiem łuk obrzeża nie zawsze jest jednakowy. Zdarzają się byki o tropie bardziej okrągłym lub węższym. Co do jeleni karpackich, to wnioskuję na zasadzie tego, co widziałem, że wymiary ich tropów nie są maksimalne, lecz uderza pewna okoliczność, mianowicie, że przód obrzeża jest jakby bar-



Trop starych jeleni, stawiających tylną racicę za przednią.

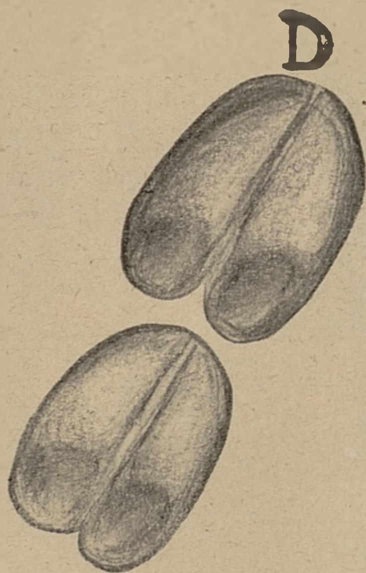
dziej tępy, okrągły, a zagłębienie w muszli bardziej płaskie. Można to tłumaczyć tym, że jeleń, idąc pod górę czy z góry, opiera się bardziej na przedniej części racicy, wskutek czego ta część obrzeża pracuje znacznie więcej i częściowo ściera się o twarde kamienie; dotyczy to również i tropów łań karpackich, które na ogół mają trop większy i bardziej okrągły niż łanie

nizinne. Wskutek tego trop łań górskich jest pod względem rysunku linii obrzeża bardziej podobny do tropów byka. Na twardym gruncie kamienistym, ślady jeleni są bardzo mało widoczne i tworzą często jakby obrysowany ołówkiem ślad.

Jedną z wybitnych oznak tropu byka jest w kłusie lub w cwale wyrzut ziemi racicą. Wynika to z tego, że siła biegów byka jest większa niż łani, a zagłębienie racic głębsze, początkowy ruch racicy szybszy, łuk, który opisuje racica — niższy. Dlatego byk, podnosząc racicę, zaczepia o nieodciśniętą ziemię i część jej wyrzuca; łania zaś, jeśli to robi, to tylko bardzo nieznacznie. Wewnętrzne odbicie tropu byka jest również bardziej wybitne niż u łani, gdyż odcisk jest na ogół głębszy. Poduszki, czyli jabłka, tj. wypukła część racicy, są u szpiczaka bardziej wydatne aniżeli u łani, a rysunek ich jest inny — coś w kształcie serca.

Bardzo ważnym wskaźnikiem, służącym do odróżnienia byka od łani, są tzw. drapetki lub szpile, czyli odciski górnych kopytek byka. Już u młodego byka ósmaka są one bardziej oddalone od siebie i większe niż u łań oraz bardziej okrągłe, o wielkości dużego palca u ręki. U łań szpile są bardziej ostre i zbliżone do siebie. Szpile byków mają po 20 — 22 mm, a u łań 13 — 15 mm. Szpile nie zawsze są na tropie widoczne, lecz występują wówczas, gdy grunt jest miękki ,a trop bardziej głęboki, albo gdy byk sadzi cwałem, gdyż wówczas pęciny nad racicami bardziej się wyginają.

Jedną z cech, które świadczą o sile jelenia, jak podaje A. Mniszek, jest tzw. ;,rozkrok, mierzy go się od końca do końca śladów. Długość zmienia się oczywiście w miarę tego czy ma się do czynienia z jele-

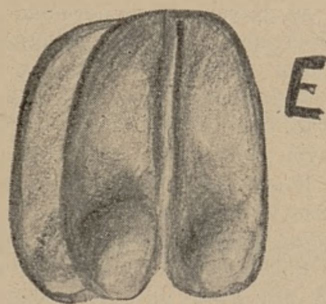


Trop młodego jelenia, u góry ślad tylnej racicy, u dołu – przedniej.

niem górskim czy nizinnym, o niskich czy wysokich badylach, czy wreszcie sama rasa jeleni jest silniejsza, czy słabsza. Rzeczy te mogą być rozmaite, nawet w tym samym rewirze. Wymiarów przeciętnych nie podaję, bowiem dla praktycznego myśliwca nie mogą mieć one żadnego znaczenia".

J. Domaniewski w Kalendarzu Myśliwskim z 1932 r. podaje, „że długość kroku u jeleni zależna jest od wieku i płci, u cielęcia latem wynosi ona około 33 cm, u szpiczaka ponad 47 cm, u szóstaka 52 cm, u dziesiątaka do 60 cm, u bardzo silnych byków do 65 cm, u młodych łań — 42 cm, u starszych łań — 50 cm."

W czasie wolniejszego biegu jeleń ma oba kopytka w poszczególnym tropie, w stosunku do siebie w każdej racicy bardziej zwarte, zamknięte; u łani natomiast są one więcej rozwarte i cecha ta, jak to widać na rysunkach, podanych w numerze 10, daje charakterystyczny szczegół. Byk ma nieco mniejszy i słabszy



Tropy obok siebie w czasie żerowania

trop tylnych biegów niż przednich, gdyż waga ciała byka, w porównaniu z łanią, sklania się bardziej ku przodowi. W kłusie trop tylnego biegu młodego byka wyprzedza trop przedniego, co można zauważyć na zasadzie wielkości odcisków racic. U cielnej łani, daje się zauważyć nieprzestępowanie tylnych racic przed przednimi, ze względu na pewne ciśnienie płodu na tylne biegi. Oczywiście jesienią, w czasie polowania na jelenie, a więc już po ocieleniu się łań, oznaka ta nie będzie istotną.

Oprócz przestępowania lub niedostępowania tropów przednich i zadnich, zdarza się także nakrywanie tropu tylnego przez przedni; objaw ten rzadszy jest u byków, a częściej spotyka się u łań. Nakrywanie tropu jednego przez drugi trafia się jednak i u byków średnich, które po pewnym czasie będą dawać tropy niedostępujące. Przy wchodzeniu tropu w trop — kontury przednich racic zostają zatarte i mamy wówczas jakby pojedyńczy, zazwyczaj silniejszy trop.

Charakterystyczną oznaką jelenia jest linia „rozdzielająca", czyli grzbiet lub nitka tropu, która jest wyraźniej zarysowana u byka. Linia ta wychodzi jakby z górnej części, czyli noska tropu i przecina miskę tropu na dwie równe części. Grzbiet ten u łań jest znacznie szerszy niż u byków, gdyż łania w biegu szerzej rozstawia kopytka, a natomiast byk stawia racicę bardziej zwartą, jak już wspominaliśmy.

Na lekkim gruncie lub śniegu tworzą się w zagłębieniu racicy zbite zlepki ziemi lub śniegu, które dopiero z czasem wypadają, podobnie jak ubity między obcasem a podeszwą buta śnieg. Te oderwane odciski odzwierciedlają dokładnie kształt racicy i mogą być uważane za maskę tropu. Podobny objaw możemy obserwować po deszczu; wtedy jeleń ubija mokrą ziemię w misce pomiędzy obrzeżem, po czym ten zlepek ziemi odpada i daje się nawet wziąć w rękę.

Przy stąpaniu dają jelenie niekiedy trop o czterech poduszkach (rysunek, litera B); ma to miejsce gdy jeleń do połowy przestąpi racicą tylnego biegu przedni trop. Niekiedy przy wchodzeniu tropu w trop—racica przedniego biegu nie pokrywa całkowicie tylnego biegu; wówczas tworzy się tzw. obrączka.

We wzajemnym ułożeniu się tropów w stosunku do tylnych i przednich biegów, rozróżniamy jeszcze: krzyżowanie tropów (rysunek, litera A), gdy przedni trop częściowo, np. do połowy, pokrywa tylny; wspomniane nakrywanie, gdy tropy tylnego biegu prawie zupełnie nakrywają trop przedni i ustawianie poboczne lub równoległe (rysunek, litera E), w wypadku, gdy oba tropy idą prawie obok siebie, ma to miejsce w czasie żerowania, czasem te oba tropy są w całości widoczne. Albert Mniszek w swej monografii objaśnia, że „krzyżowanie pochodzi stąd, że byk jest znacznie grubszy (szerszy), skutkiem czego nie może tak blisko zestawiać badyli, jak to robi łania o wiele od byka smuklejsza, która krzyżuje tylko wyjątkowo i to tylko tylnymi badylami. W znaczeniu matematycznym każde dwa ślady wykazują grubość sztuki, która je zostawiła; krzyżowanie u łań jest bardzo nieznaczne, natomiast u byków występuje już w najmłodszym nawet wieku; krzyżowanie tym się odznacza, że linia środkowa śladów odchyla się lekko na zewnątrz. Im dalej więc leżą ślady od tej linii środkowej i im większe jest odchylenie na zewnątrz, tym grubszy był byk."



F. Bobki jelenie: na górze — byka, na dole — łani.

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech siły i płci jelenia jest tak zwany rozstęp. Jeśli przeprowadzimy przez noski lewych i prawych tropów linie równoległe, to odległość od tych linii tworzyć będzie tzw. rozstęp, który występuje u silnych byków jako cecha związana z ich wagą i większą masywnością korpusu. Rozstęp ten przybiera na rozmiarach, zwłaszcza w okresie, gdy byki stają się łojnymi (w końcu sierpnia). U łań jest on w ogóle mniejszy.

Ekskrementy jelenia rozpadają się na poszczególne bobki (rysunek F) i są u byka krótsze, a pod względem średnicy większe aniżeli u łań. Wiosną ekskrementy byka i łani są miękkie. W okresie upasania, ekskrementy jeleni byków zbliżone bywają kształtem do krowich, są jednak od nich mniejsze. W czasie rykowiska bobki bywają bardziej nieregularne, a zimą są twarde. Poszczególne części odchodów jelenia zbliżone są kształtem do żołędzia, na jednym końcu mają wypukły, jakby zaostrzony występ, któremu w drugim bobku odpowiada zagłębienie. Jeleń byk oddaje mocz pomiędzy kończyny przednie, łania natomiast pomiędzy kończyny tylne. W stosunku zatem do tropów stojącego zwierza — można wywnioskować czy to był byk, czy też łania.

Ze względu na to, że w czasie dnia spotkanie ze starym bykiem na ogół rzadko się zdarza, zwłaszcza tam, gdzie lasy są mocno podszyte, studiowanie zwierzyny w okresie przed rykowiskiem według tropów — jest jedynym ze środków, wskazującym rzeczywisty



Kapliczka św. Huberta w nadleśnictwie Płock
fot. T. Borkowski

stan jeleni w ostoi i pozwalającym na przewidywanie możliwości spotkania. Gdzie studiowanie tropów i przesmyków jeleni jest zaniedbane lub w ogóle zaniechane, spotkanie może mieć miejsce tylko przez podchodzenie ryczącego, co jednak często, ze względu na miejsce, w którym jeleń ryczy, nie da się uskutecznić. Lecz i podchodzenie ryczącego, jakoteż i samo wabienie, daleko pewniej doprowadzą do celu, je-

śli możemy przed tym obejrzeć trop byka, ku któremu zmierzamy. Ileż razy zdarza się, że silnie ryczący byk okazuje się młodym ósmakiem, wówczas stracimy niepotrzebnie wieczór lub poranek z tego tylko powodu, że nie zwracaliśmy uwagi na jego trop, do którego dojść ze względu na ruch jelenia nie jest trudno. Ryczący byk idzie zazwyczaj pod wiatr; idąc więc za nim, możemy zawsze natknąć się na jego trop i podług niego przerwać dalszy podchód, albo też — jeśli to trop maksimalny, następować mu dalej na pięty; lecz do tego potrzebna jest znajomość tropów w ogóle, a zwierzostanu swego łowiska w szczególności. Często byk ryczy na jednym miejscu przez kilka godzin, ale jeśli obeszliśmy stanowisko ryczącego jelenia, to w tym wypadku możemy natknąć się na jego świeży trop, a przez to wywnioskować jaki byk ryczy. Czasem tych tropów wchodzących byków do danego rewiru może być kilka, nie zawsze jednak największe tropy będą należeć do tych byków, które ryczą najczęściej. Często gruby byk odzywa się rzadko, niekiedy tylko pomrukuje, gdy towarzyszący mu młodszy podciołek ryczy bez wytchnienia. Dlatego słysząc dwa obok siebie idące rogale, koniecznym jest pójść na ich trop i rozeznać, wielkość, a nie dać się uwieść częstotliwością ryku.

T. Śliwiński.

STEFAN WIKTOR.

Wspomnienia przedwojenne z rykowiska w Karpatach

Rykowiska w tym roku, w którym przeżyłem to, co poniżej opisuję, oczekiwałem, jak zwykle, z wielką niecierpliwością. Tęsknota za górami, mieniącymi się o tej porze nieporównaną grą barw od jasno-żółtych liści jaworów i brzóz, cudnej czerwieni buków, do ciemnej, wiecznej zieleni jodeł i limb... Jak co roku, tak i w tym otrzymałem dnia 19 IX wyczekiwany telegram: „Jelenie ryczą, proszę przyjeżdżać".

Noc spędzam nerwowo, 20 rano autem jadę przez Lesko do Średniej Wsi, doliną rzeki San, która wspaniałym, ogromnym wężem, wytacza swe skręty z wnętrza gór. W Ciśnie przesiadka i dalej do Kalnicy leśną wązkotorową kolejką, gdyż autem, z powodu braku drogi, jechać nie można. Spieszy mi się. Załatwiam prędko przeładowanie rzeczy, chcę jeszcze dzisiaj być na wieczornym podchodzie, mimo iż, tak jak zawsze, mam do dyspozycji 10—14 dni. Na taki okres wyjeżdżałem zawsze na rykowisko. Jest to czas, który uważałem za potrzebny, aby spokojnie zorientować się w rewirze, gdzie i jakie jelenie ryczą.

Rewir Kalnica, liczący około 9.000 morgów, jest uroczy, dziki, pierwotny, trudny terenowo. Dojazd jest przepiękny, jedzie się z Cisny 19 km kolejką, poprowadzoną wysoko zboczami gór, z których na całej przestrzeni roztacza się wspaniały widok na sąsiednie góry i szczyty, i dojeżdża się do leśniczówki, leżącej prawie w środku rewiru.

Przyjeżdżamy koło drugiej w południe. Krótki posiłek, prędko wypakowuję broń, zmiana garderoby, w międzyczasie leśny Franciszek składa raport o ilości i jakości ryczących byków, i w drogę na podchód.

Ponieważ rewir znałem doskonale z lat poprzednich, wyruszam na tę pierwszą wyprawę sam na zrąb, do rewiru „Trzy-Granice". Pełen nadziei doszedłem do zrębu, który ciągnął się poprzez głęboki potok na przeciwległy stok góry. Po drodze widziałem różne tropy. Miejsce, gdzie usiadłem na pniaku, było jakby olbrzymią wartownią. Kładę broń na kolanach i zamieram w bezruchu. Cisza zupełna, jelenie nie ryczą, jeszcze za ciepło, obszukuję przez szkła starannie każde miejsce, nigdzie nic nie widzę. Często powtarzam przegląd zrębu. Siedząc tak pod starym rozłożystym bukiem myślałem, czemu szum jego gałęzi jest dla mnie niezrozumiały. Ileż ciekawych rzeczy mogłyby opowiedzieć, jakich to różnych wydarzeń był świadkiem, które odbywały się na tych zrębach poprzez tyle lat.

Pod wieczór wyszły na zrąb najpierw dwie sarny z rogaczem, pojedyńczo widłak i porykując słaby dziesiątak z 2 łaniami, prócz tego 2 byki ryczały w dużym lesie, ale nic grubego. Wracam po ciemku. Kolacja; idę wcześnie spać, by rankiem być świeży i wypoczęty.

21 wstałem o godzinie 3. Niebo zachmurzone, ciemno, szaro, ciepło. Idę w górę do rewiru „Strubowiska". Przeszło godzinę trwa marsz po zboczach i poprzez potoki. Jelenie nie ryczą. Doszedłszy do niezbyt dużego zrębu, siadam na kłodzie i czekam. Na razie cisza najidealniejsza z idealnych. Słyszę w dole tylko rytm szemrzącego potoku. Z zadumy wyrwał mnie naraz głos ryczącego jelenia w dole, po mej prawej stronie, lecz niezbyt gruby; postanawiam zatem dalej siedzieć i czekać. Za chwilę wychodzą na zrąb trzy łanie, stają, rozglądają się, nadsłuchują, oświecone promieniami słońca jak ulane z brązu; znowu się oglądają, zdradzają pewien niepokój, zatem z tyłu za nimi musi być jeszcze jakaś sztuka. Rzeczywiście, w dużym lesie rozlega się krótki ryk i byk ostrym kłusem wychodzi na zrąb. Kurczowo ściskam Mannlichera, badam wzrokiem czy odbezpieczony i zaraz patrzę przez szkła na wieniec. Niestety, średni dwunastak; nie strzelam. Jelenie poszły nie zestraszone przez zrąb na drugą stronę. Poniżej pasła się koza z małym. Wycofuję się po cichu i wracam okrężną drogą do domu; w podszyciu dużego lasu płoszę jakieś niewidziane sztuki.

Po śniadaniu kładę się, gdyż po obiedzie czeka mnie znowu daleki podchód na połoninę pod „Małym Beskidem", gdzie leśny słyszał wczoraj byka, ryczącego grubym, potężnym głosem. Wychodzę wcześnie. Pogoda dobra, prawie bez wiatru. Dookoła, jak sięgnąć okiem, góry i lasy oświecone słońcem, które nie oślepia już i nie zieje ogniem jak latem. Powinny ryczeć dobrze. Ścieżka prowadzi najpierw około 400 m gęstą bukowo-grabową kulturą ze samosiewu, potem wchodzi w stary las, istny labirynt bukowo-jodłowy. Idę z początku prędko, ale możliwie cicho, przystając i nadsłuchując, lecz na razie wszędzie cisza. Knieja ta, która za dnia wydaje się martwa i pusta, w nocy jest pełna życia. Odbywają się tu królewskie gody i wspaniałe koncerty.

Przed czwartą jestem pod połoniną. Zmęczony tym forsownym marszem pod górę, siadam na kłodzie, czekam i słucham. W górę po prawej ręce mam duży zrąb z wiatrołomów, po lewej połoninę, na kraju której już pasie się słaby ósmak. Wkrótce odezwał się gdzieś na dole w potoku jeleń, lecz sądząc po głosie może to być dziesiątak lub średni dwunastak. Tuż potem ryczy drugi grubym głosem; ciągnie starym lasem ku zrębowi. Głęboki jego bas wzbudził moje zainteresowanie. Badam wiatr i szybko, a bardzo ostrożnie, podsuwam się wzdłuż zrębu w górę, by się zbliżyć do ciągnących jeleni i przeciąć im drogę. Byk ciągle ryczy, idąc bardzo wolno ku zrębowi. Prócz niego ryczy jeszcze jeden, lecz z powodu średniego głosu nie interesuje mnie wcale. Teraz potężny głos głęboki, krótki i urywany rozchodzi się po lesie, powtarzany po górach przez wielokrotne echo. Zamieniony cały w słuch i wzrok wyczekuję i wpatruję się w skraj lasu. Niepewność jak się skończy to pierwsze spotkanie z poważnym jeleniem, jaki ma wieniec i czy jelenie wyjdą przed nocą, bardzo mnie denerwuje. Z drugiej strony rozkoszuję się tak wspaniałą muzyką. Zdaje mi się, że jestem na jakiejś operze, gdzie solistami są ryczące jelenie, zaś akompaniament — to szum niebotycznych jodeł oraz szelest spadających liści. Upajający zapach drzew szpilkowych i liściastych, rozbrzmiewające po górach i przepaścistych jarach tęskne westchnienia basowe i barytonowe, bojowe fanfary rogatych rycerzy, kruszących kopie o miłosny uśmiech swych dam, stwarza obraz pełen niezapomnianych nigdy przeżyć i wrażeń.

Zmierzch zaczyna szybko zapadać, a lekkie opary jeszcze bardziej zaciemniają i przesłaniają pole widzenia. Zmierzch gęstniał tak, że strzał stał się wnet niepewny, a może i niemożliwy. Słyszę byka już niedaleko od skraju lasu, sugestionując go myślami, by prędzej wyszedł. Wtem ukazują się najpierw cztery łanie; teraz z westchnieniem: „Św. Hubercie dopomóż!" czekam i uspokajam nerwy; po krótkiej chwili wysuwa się wolno byk, rycząc i bijąc wieńcem po krzakach. O ustaleniu liczby odnóg nie ma mowy, już za ciemno, sekunda wahania, lecz widząc, mimo tak słabego światła, duży wieniec, umieszczam krzyż lunety na łopatce i spokojnie ciągnę za spust. Suchy trzask karabinowego strzału targnął powietrzem, a echo powtórzyło go wielokrotnie. Jeleń dobrze zaznaczył strzał, odbił się od łań i, kładąc wieniec po sobie, ostrym galopem zatoczywszy półkole, wrócił do lasu skąd wyszedł, a zatem trafiony śmiertelnie. Łanie poszły przez zrąb na drugą stronę. Już zupełnie ciemno, najpierw znaczę, łamiąc gałązkę buczyny, miejsce, z którego strzelałem, potem przy pomocy latarki elektrycznej idę szukać miejsca strzału, które wreszcie znajduję i widzę dobrą, obfitą farbę; z powodu ciemna w dużym lesie, dalsze poszukiwanie zostawiam do dnia następnego.

Wracam do domu. Jestem pewny, że byk leży, ale jaki? Na leśniczówce indagacje: gdzie, jaki i w jakich okolicznościach strzelałem, naturalnie muszę opowiadać ze wszystkimi szczegółami. Prędka kolacja i idziemy spać. Już wracając do domu ułożyłem plan na jutrzejszy ranek, zamawiam też Franciszka na tę ranną wyprawę. Noc miałem niespokojną, spałem nerwowo, ciągle się budziłem, przeżywając jeszcze raz wszystko.

Dnia 22 budzik dzwonił o godzinie 2.30, ale już przed dzwonieniem obudziłem się. Pogoda dobra, znacznie ochłodło. W zwartym lesie ciemno jak w tunelu; w trudniejszych miejscach poświecam sobie latarką. Gdzieś daleko na zboczu ryczy już jeden. Przyśpieszamy kroku, by przed świtem być na miejscu. Ruszył się lekki wiatr. Słyszymy w różnych miejscach już trzy jelenie, lecz nie zmieniamy planu, byle prędzej do góry. Po tym uciążliwym marszu zupełnie po ciemku przyszliśmy na miejsce wczorajszego strzału. Tu postanawiam czekać świtu.

Mrok jeszcze zupełny, nie ma możliwości zobaczenia ani rozpoznania zwierza. Świt wolno nasuwa się górą ponad naszymi głowami. Ścieżka, na której stoimy, staje się lekko widoczna.

Teraz słyszymy potężny koncert 5 byków; ryczą, aż się las trzęsie. Ich głosy po pewnym czasie dobrze rozróżniam, aczkolwiek chwilami zlewają się w jeden miłosny koncert. Echo powtarza go po lasach i zboczach. Przyznać muszę, że nawet na najbardziej opanowanego myśliwego taki koncert robi niezapomniane wrażenie.

Jeden ryczy bardzo grubym, głębokim basem; wybór, na którego polować, był prędko zrobiony. Naturalnie na tego, który ryczy najgrubiej. Ryczy na górze na zrębie, panując niepodzielnie nad chórem. Jest w tym głosie coś majestatycznego, rozkazującego, zmusza poniekąd do milczenia całą resztę. Franciszka zostawiam na miejscu, sam puszczam się co sił w nogach grubym lasem do góry, w kierunku wybranego głosu, by obejść zrąb i stanąć na domniemanym przesmyku, którym jelenie będą wracać do lasu. Serce wali mi jak młotem, obcieram pot z czoła. Powoli dnieje.

W szarzyźnie przedświtu patrzę przez szkła, mającą jakieś mętne kształty na zrębie. Niestety, jeszcze ciemno, nic nie można rozpoznać. Na próżno patrzę to przez Zeissa, to przez lunetę Mannlichera. Posuwam się nadzwyczaj ostrożnie jeszcze kilkanaście kroków; nie zmienia to jednak sytuacji. Wysilam wprost wzrok, aż oczy zachodzą łzami. Przecieram ciągle szkła, ale jest wciąż światła za mało. Słyszę wyraźnie: mój byk ryczy na zrębie. Czekam w wielkim napięciu nerwów jeszcze chwilę i wreszcie widzę i poznaję dwie łanie, a za nimi byka, żerującego na zrębie; towarzystwo to wolno ciągnie w górę do dużego lasu. Byk ryczy, gniewa się i odgania idącego obok i kokietującego kibica. Robię jeszcze parę kroków ku górze, dalej już iść nie mogę; staję, dobrze schowany za krzakiem leszczyny.

Do strzału jeszcze daleko, przyglądam się bykowi, widzę dobry wieniec o ciemnym kolorze i dużo białych końców, lecz z powodu chaszczy, którymi idzie, dokładnie go ocenić nie mogę. W duchu zanoszę modły do Św. Huberta, by jelenie tylko nie zmieniły kierunku. Naraz, jelenie, zaniepokojone czymś na zrębie, zaczynają iść wyciągniętym kłusem do dużego lasu, prawie prosto na mnie; byk idzie ostatni. Teraz widzę dokładnie wieniec i piękną koronę. Odetchnąwszy głęboko, prowadzę go przez lunetę, a gdy dochodzi już do skraju lasu, a krzyż lunety spoczywa dobrze na łopatce, ciągnę za spust. Po górach echo powtórzyło huk strzału. Byk w ogniu się wywrócił, lecz zaraz wstał i wolno ciągnie za łaniami. Szybko strzeliłem drugi raz i jeleń znikł w lesie. Repetuję znowu karabin, zdejmuję i chowam lunetę. Słyszę już tak miłe dla ucha myśliwego przerywane młócenie rogami po krzakach, potem cisza, więc leży.

Idę na miejsce strzału, farba obfita, a o kilka kro-

-ków od skraju lasu leży bardzo dobry nieregularny szesnastak. Byk miał obie kule, pierwszą nieco nisko na łopatce, drugą spóźnioną w miękkie. Odległość 124 kroków. Nacieszywszy się tym pięknym widokiem, śpieszę do leśnego na miejsce, gdzie wczoraj strzelałem. Niecierpliwe wyczekiwał mnie leśny, pyta co strzeliłem i równocześnie mówi, że bardzo dobry regularny dwunastak leży o kilkanaście kroków od miejsca strzału w wysokich burzanach w grubym lesie. W sekundzie byłem przy jeleniu, podziwiam piękno wieńca; bardzo regularny, dobrze uperlony, foremny dwunastak.

Cieszę się niezmiernie; radość moja uzasadniona, bo w ciągu kilkunastu godzin zdobyłem dwa tak piękne wieńce.

Jeleń miał wysoką kulę komorową, bo przy wczorajszej lekkiej mgle i złej widzialności mylnie szacowałem odległość, zdawało mi się, że strzelam ponad 150 kroków, a było tymczasem zaledwie 100.

Franciszek śpieszy do krzaku jedliny, łamie gałązkę, podchodzi do mnie i uroczyście podaje mi ją; zdobię nią mój kapelusz. Wyjmujemy jeszcze grandle i śpieszymy do domu, by zaraz wysłać ekspedycję po



Niezwykły wieniec *rys. S. Wiktor*

jelenie. Ponieważ leżały w miejscach względnie dostępnych, posyłam po nie furę z leśnym i 3 ludźmi, by je ściągnąć do kolejki leśnej, a potem już na waganiku do leśniczówki.

W ten tak szczęśliwy sposób rozpocząłem sezon rykowiska.

Ale potem przyszły deszcze i niepowodzenia i w ciągu następnego tygodnia zdobyłem tylko parę pięknych parostków sarnich. Dopiero w przedostatnim dniu pobytu w górach Św. Hubert jeszcze raz obdarzył mię hojnym darem. Dnia 30, jak codziennie, jestem jeszcze po ciemku nad zrębem. Jelenie ryczą dobrze. Trzy byki ryczą średnim głosem, czekam na miejscu świtu dalszych wypadków. Światła przybywa, widzę na zrębie dziesiątaka i 4 łanie. Badam zrąb, nic więcej na nim nie ma. Zrobiło się już całkiem jasno, gdy naraz odezwał się czwarty, grubym głosem z drugiej strony góry. Decyzja prędko zapada, idę pośpiesznie w kierunku głosu; leśny miał czekać na miejscu, a w razie strzału przyjść do mnie. Jeleń z rzadka rycząc, oddalał się ciągle ode mnie, a ja, nie mając żadnej możliwości przecięcia mu drogi, byłem zmuszony wybrać najryzykowniejszy i najtrudniejszy sposób podchodu, to jest wprost pościg za nim.

Wiatr kręci, więc cały ten podchód jest dosyć ryzykowny. Możliwie jak najciszej, ale jednocześnie możliwie jak najszybciej podążam za głosem. Tak przeszliśmy dwa głębokie potoki i trzy zbocza, wreszcie na trzecim zboczu udaje mi się w rzadkim, grubym lesie wypatrzeć przez szkła 3 łanie koło klombu młodej buczyny; jednak byka nigdzie zobaczyć nie mogę, a przecież tam być musi. Język przysycha mi do podniebienia, tłumię oddech w piersiach, posuwam się 2—3 kroki w bok i wreszcie ujrzałem przez szkła stojącego w klombie byka o długich i grubych odnogach ocznych. Nie widzę reszty wieńca, który był zasłonięty gałęziami, mimo to zdecydowałem się na strzał, wnioskując, że jeleń z tak grubymi odnogami ocznymi, o krótkim grubym karku i o dużej grzywie, musi posiadać wieniec kapitalny. Decyzja i strzał była to sekunda; obawiałem się, że o ile nie wykorzystam tej chwili do strzału, jelenie pójdą i więcej ich nie zobaczę, tym bardziej, że byłem tak zmęczony wyczerpującym i pełnym emocji podchodem, że o dalszym pościgu myśleć nie mogłem. Strzelam na 186 kroków. Jeleń załamał się w ogniu. Kula weszła skosem między żebra i zdeformowana utkwiła po przeciwnej stronie w łopatce. Podchód trwał półtora godziny.

Biegnę, by z bliska zobaczyć z takim trudem zdobyte trofeum. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy zamiast spodziewanego szesnastaka lub osiemnastaka, ujrzałem leżącego starego, bardzo dobrego dwunastaka o prostych tykach, wąsko postawionych, o rozpiętości górnych odnóg zaledwie 26 cm, wysokości 97 cm, waga 9.10 kg. Podobnego wieńca nigdy nigdzie w życiu nie widziałem.

Z jednej strony byłem rozczarowany, z drugiej oryginalność wieńca sprawiła mi dużą satysfakcję; zajął on zaszczytne miejsce na ścianie w moim zbiorze różnych myłkusów.

Franciszek, gdy zobaczył wieniec, był bardzo zdziwiony, gdyż o egzystencji tego jelenia w rewirze nic nie wiedział.

Po powrocie do koliby pakuję się, przebieram i żegnam z całym personelem lasowym. Obok pięknych trofeów wywożę nową wiązankę wrażeń, która z każdego rykowiska zostaje w pamięci na trwałe, bo góry posiadają czar i urok niezatarty, wyzwalają z kłopotów codziennego życia, dają zapomnienie trosk życiowych.

Stefan Wiktor.

Dr. J. MARCHLEWSKI.

W SPRAWIE DRAPIEŻNIKÓW SKRZYDLATYCH

Pragnę zabrać głos, nawiązując do czterech artykułów, zamieszczonych w 4, 5 i 6 numerze „Łowca Polskiego", mianowicie artykułów kol. inż. K. Ringa, kol. leśnika E. Reszkego, kol. L. Pac-Pomarnackiego i kol. M. Niewczasa. Chciałbym rzucić parę uwag, które może wywołają jakiś oddźwięk, przyczyniający się do złagodzenia zatargu, istniejącego ciągle jeszcze pomiędzy myśliwymi, a tak zwanymi ochroniarzami, czyli ludźmi, którym leży na sercu ochrona wymierających gatunków zwierząt przed całkowitą zagładą.

Artykuł inż. Ringa, nawołujący do tępienia drapieżników, wywołał niezadowolenie u tych, którzy dobrze wiedzą, co znaczy taka propaganda wśród „myśliwych", nie będących w stanie rozpoznać do czego strzelają. Autor twierdzi, że do drapieżników nikt dzisiaj w ogóle nie strzela. Zdanie jego mija się z prawdą. Tej wiosny np., kustosz Muzeum Przyrodniczego Śląskiego, p. Bielewicz, otrzymał do wypchania trzynaście sztuk myszołowów pospolitych (Buteo buteo Linn.) zawiązanych w jednym worku, a zastrzelonych jednego dnia w czasie wycieczki samochodem. N b., po wysypaniu z worka, kilka sztuk jeszcze żywych rozlazło się po podłodze na połamanych kikutach.

Jeden z preparatorów krakowskiego uniwersytetu otrzymał w ubiegłym roku 48 sztuk ptactwa drapieżnego, wśród których był całkowicie ustawą chroniony orzeł krzykliwy (Aquila pomarina Brehm), a tylko dwa gołębiarze. Ten sam preparator dostał też kilkanaście sów, które właściwie według obowiązującej ustawy nie są zwierzyną łowną, bowiem nie należą do ptaków drapieżnych według systematyki naukowej; są za to ptakami niezwykle pożytecznymi i zupełnie obojętnymi dla łowiectwa. Fakty te stwierdzają, że drapieżne ptaki strzela się silnie i to może nie z pobudek hodowlano-myśliwskich, ile raczej z chęci zdobycia wypchanych okazów na ścianę. Nic też dziwnego, że „ochroniarze" przyjęli projekt krucjaty przeciwko drapieżnikom, proponowany przez inż. Ringa, jako wysunięty w nieodpowiednim czasie, to znaczy przed zdyscyplinowaniem i odpowiednim nauczeniem nowokreowanego elementu łowieckiego.

Najwięcej jednak przeraził ich projekt wznowienia w takiej czy innej formie strzałowego, od ubitych sztuk drapieżników skrzydlatych, na podstawie dostarczonych części ich anatomii, gdyż wiedzą dobrze do czego rzecz taka może w pewnych warunkach doprowadzić. Jako przykład posłużyć może los pewnego kółka łowieckiego w Krakowie, które płaciło dobry grosz za pięknie ususzone skrzydła kukułek. Również bardzo niemile razi w wypowiedziach autora używanie słowa „tępić i wytępić", pomimo, że myśliwi już dawno obiecali wykreślić je ze swego słownika. Jeśli nikt nie może mieć obawy o wytępienie np. myszołowa lub błotniaka, to jednak trzeba pamiętać, że jeśli idzie o orła przedniego, orła bielika, gadożera lub puchacza, kilkanaście strzałów może skreślić te gatunki z listy europejskiej fauny. Tu leży największa obawa, bo fakty jasno mówią, że nasi myśliwi nie umieją rozróżniać ptaków drapieżnych, strzelają je nawet w ustawowo obowiązującym czasie ochronnym i chcą wmówić w przyrodników, że wszystkie gatunki są bardzo niebezpieczne dla zwierzyny łownej, co jest oczywistym nonsensem.

Inż. Ring podaje przykład rejonowego konkursu za odstrzał drapieżników, przy czym punkty wypłacane są za nóżki ptaków drapieżnych, gołębiarzy i krogulców. Nie wątpimy, że autor rozróżni je od nóg myszołowa, pszczołojada, pustułki lub sokoła wędrownego, nie wątpimy, że zrobi to także podłowczy w Skoczowie, ale co będzie, gdy konkursy takie będą zainicjowane także i gdzie indziej Jeśli np. zajmie się nimi ten pan leśniczy, który niedawno schwytał pod Warszawą gadożera i jako orła białego ofiarował ogrodowi zoologicznemu, komponując przy tym bajeczkę o atakowaniu sarenki przez tego ptaka? Przeraża to przyrodników, zwłaszcza znających poziom wiedzy przyrodniczej leśników, który tak pięknie zdemaskowała ankieta Sekcji Polskiej Międzynarodowego Komitetu Ochrony Ptactwa.

Do artykułu kol. Ringa, redakcja „Łowca Polskiego" dodała dopisek o polowaniu z puchaczem, który dopełnił miary niezadowolenia u „ochroniarzy". Chcąc wyjaśnić o co chodzi, stawiam sprawę na „ostrzu miecza". Przyrodnicy, zgrupowani przy Państwowej Radzie Ochrony Przyrody, występują ostro przeciwko polowaniu z puchaczem. Jakie są motywy? Przede wszystkim polowanie to jest groźne dla samego puchacza, jako wymierającego gatunku. Nie dlatego, że po kilkuletnim trzymaniu w śmierdzącej klatce i maltretowaniu na łańcuchu, myśliwy wyrzuca go wreszcie na śmietnik, zjedzonego przez wszy lub strutego ołowiem, ale dlatego, że polowanie to daje impuls do masowego wybierania puchaczy z gniazd i handlu nimi. Również dlatego, że myśliwy nie poprzestanie na wyczekiwaniu na gołębiarza, ale wygarnie nieodmiennie do każdego pikującego myszołowa, pszczołojada, pustułki czy sokoła wędrownego. Znam dobrze kolegów myśliwych i nie mylę się w tym względzie Miejsce resztek żyjących u nas puchaczy są ciche



Rozkład kol. J. Skrzypka fot. Z. Kowalski

rozpadliny Tatr czy Pienin, a nie wegetowanie za kratkami.

Artykuł kol. E. Reszkego o ptakach drapieżnych, który ukazał się w następnym (5) numerze „Łowca", artykuł napisany z przyrodniczym podejściem do sprawy, głosi zasady, stojące w sprzeczności z postulatami wyrażonymi przez inż. Ringa, choćby dlatego, że przestrzega przed strzelaniem wszystkiego, co ma szpony i zakrzywiony dziób. Pominąwszy anachroniczny dziś podział drapieżników dziennych na szkodliwe i pożyteczne oraz nieistotne tutaj błędy natury czysto „systematyczno-naukowej", artykuł kol. Reszkego zaciera do pewnego stopnia przykre wrażenie, jakie na każdym prawdziwym myśliwym zrobił artykuł inż. Ringa.

Trzeci z kolei artykuł, kol. L. Pac-Pomarnackiego (nr 6 „Łowca"), powinien być kilka razy przeczytany przez każdego myśliwego. Porusza on kwestie, których zrozumienie usprawiedliwia słuszność wszystkiego, co w niniejszej notatce napisano. Nie będziemy się bać o przyszłość naszego łowiectwa, jeśli potrafimy wprowadzić w życie te zasady, na jakie wskazuje autor. Należy sobie życzyć gorąco, aby Łowiec Polski kształcił, śpieszył z pomocą i ze wskazówkami tym wszystkim, co do których nie mamy wątpliwości, że dadzą się jeszcze urobić na etycznych i świadomych członków P.Z.Ł.

Musi on jednak zmienić swe „oblicze". Każdy numer roić się powinien od dużym drukiem wyrażonych „sloganów" w rodzaju: „Nie wolno ci strzelać śrutem do rogacza, jelenia i dzika". „Pamiętaj, że od 1 lutego nie wolno strzelać żadnych ptaków drapieżnych, z wyjątkiem gołębiarzy i krogulców". „Pamiętaj, że orły są pod całoroczną ochroną" itd. Takie hasła wbiją się może w pamięć tych, którzy nie mają cierpliwości lub ochoty na czytanie dłuższych artykułów.

Podzielmy „Łowca" w ten sposób, by artykuły naukowo traktowane widniały obok rubryki „Uczmy się!" W rubryce tej byłaby np. notatka: „Czy wiesz, co to za kaczka?", mieszcząca ilustrację kilku krajowych kaczek z odpowiednimi objaśnieniami. Albo: „Dlaczego mój ekstraktor nie wyciąga łusek?" itd. Mam wrażenie, że takie inowacje wyszłyby na dobre czytającemu „Łowca" ogółowi myśliwych, przy czym nie zaprzeczam bynajmniej racji drukowania dobrej beletrystyki.

Kol. Marian Niewczas porusza w numerze szóstym sprawę nowelizacji prawa łowieckiego. Pragnę dorzucić do jego uwag parę słów, dotyczących samej zwierzyny. Musimy się zgodzić na wyłączenie z ustawy pewnych gatunków, które przez swą rzadkość stały się już tylko obiektami nauki a nie polowania. Musimy zerwać z nieżyciowymi terminami, jak np.: „ptactwo wodne i błotne" bez wyszczególnienia poszczególnych gatunków. Musimy terminy nasze stosować do przyjętych w nauce, gdyż tak dzieje się na całym świecie. Musimy wreszcie zmienić wszystko to, co pozwala dotychczasową ustawę interpretować dwuznacznie, ze szkodą dla zwierzyny i wymierających gatunków naszej fauny.

Dr J. Marchlewski, Kraków

Od Redakcji. Dla dobra sprawy i ze względów bezstronności zamieszczamy artykuł dra Marchlewskiego. Zwraca on słusznie uwagę na brak należytego przygotowania ornitologicznego u wielu, zwłaszcza początkujących myśliwych i na płynące stąd niebezpieczeństwo pomyłek. Dążyć należy do ich usunięcia i pod tym względem otwiera się szerokie pole działania dla fachowców-przyrodników. Do umieszczenia prac z zakresu bliższego zaznajomienia rzeszy myśliwych z wyglądem drapieżników skrzydlatych, łamy „Łowca Polskiego" stoją otworem.

Słuszne są też niektóre sugestie autora, co do wzmocnienia kierunku pedagogicznego naszego pisma z uwagi na duży dopływ młodych myśliwych.

Ale nie słuszne jest wyraźnie wrogie nastawienie jego do sprawy polowania z puchaczem. Bo z równym prawem powinien on potępić polowania z sokołami, z fretką czy z psami lub krekuchą. Ta okoliczność, że puchacz jest chroniony, nie może odgrywać roli decydującej, gdyż puchacz — jak każde zwierzę pomagające myśliwemu w łowach — jest otaczany troskliwą opieką, a więc właśnie chroniony. Zapewne, puchacz na wolności czuje się lepiej niż w klatce, ale z równą słusznością trzeba byłoby zabronić trzymania dzikich zwierząt w ogrodach zoologicznych lub w hodowlach zwierząt futerkowych.

JAN SZCZEPKOWSKI.

Z WIZYTĄ U DZIKICH ŁABĘDZI

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą
Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie
I tam polecę, gdzie one polecą.

Juliusz Słowacki „W Szwajcarii".

Astronomia mianem „Łabędzia" ochrzciła konstelację gwiezdną, mitologia grecka w pyszne jego kształty wcieliła Zeusa, sztuka wykorzystała erotyzm Ledy w obrazach i rzeźbie (Correggio i inni), w muzyce Wagner z piersi Lohengrina dobywa piękną arię do łabędzia, natomiast literatura nie utrwaliła wdzięku tego ptaka w żadnym „powszechnie znanym" utworze, zadawalniając się jedynie przelotną wzmianką lub metaforą.

Nie widział bowiem poeta dzikich łabędzi na ich dzikim jeziorze.

Czar wolności tracą skrzydła oswojonego ptaka.

Łabędź na stawie w Łazienkach jest niby biała róża na lustrzanym stole salonu. Róża odcięta od krzewu, wyrwana z praw wolnej natury, z tła i przestrzeni. Żywa w niewoli ozdoba.

Łabędzie karmione przez publiczność bułką, rozłakomione na datkach, ociężałe w dosycie podnoszą wprawdzie estetykę ciasnego pejzażu: stawu, cienistych drzew i pięknego pałacu, nie wywierają jednak pełni czarownego uroku. W Polsce szukać go należy na otwartej przestrzeni mazurskiego jeziora Łukiany.

Z Olsztyna do Mikołajek prowadzi wyborna, choć kręta szosa wśród pagórków i dolin. Pejzaże mienią się barwami: zielenią lasów i drzew przydrożnych, błękitem nieba i jezior, złocistością pól, czerwienią wiosek i miast.

Nad wielkimi jeziorami, Mikołajki, to najmniej zniszczone miasteczko.

Warmijsko-Mazurski Związek Turystyczny ma przystań na jeziorze. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze — schronisko w byłym hotelu. Wakacje; więc najazd młodzieży i profesorów. Kajaki, wędki, pływalnia. Zdrowie i radość. Apetyt trudny, niestety, do zaspokojenia w starodawnej austerii Mazura: kuchnia skąpa, za to rachunki hojne.

Czy on wie o tym, że jest piękny? Przegląda się wciąż w lustrze wody, świadom swych wdzięków i może dlatego puszy się dumnie. Pozer czy niebiańskie zjawisko piękna?

Jest u siebie. Wolny, poważny i dumny. Poruszenia jego są śmiałe, pełne swobody. Odpłynął od zarośli.

— Gąsior pilnuje młodych. Zostawił je z matką w zaroślach, a nas odwodzi — objaśnia rybak.

„Gąsior". Niemile uderza ten wyraz. Jak można



Koziołek pomorski *fot. J. Rakowski*

zwać łabędzia mianem pospolitego, niemądrego ptaka. Człowiek ten gotów jego małżonkę nazwać obelżywie „gęsią".

Do mostu, z którego łabędzie przez lornetkę widać, pięć kilometrów. „Rezerwat przyrody. Wstęp surowo wzbroniony". Ostrzeżenie dla samowolnych kajakowców; jedyną tamtejszą łodzią nadleśnictwo rządzi.

Z dozorcą jeziora, mazurskim rybakiem, płyniemy wodnym korytarzem wśród lasu czterometrowych trzcin i niesłychanie wysokiej, wąskolistnej rogoży (Typha Angustifolia). Mamy wrażenie, że to jakaś egzotyczna kraina południa, gdzieś w rozlewiskach Nilu. Słońce z bezchmurnego nieba praży, woda rzuca oślepiające błyski, koszula dolega. Najlżejszy wiaterek nie porusza trzcin. Błoga cisza, tylko wiosła pluszczą. Niekiedy plusnie spłoszona ryba.

Czarne kurki wodne uciekają w zarośla. Jasnoszyiny nurek dał tęgiego nura.

Rozszerza się korytarz, otwiera jezioro.

W trzcinach szum nagły i gwarny. Zachwiały się i zakotłowały szeroką ławą, jak gdyby burza w nie wpadła. Spłoszyliśmy kaczki. Zapewne były ich setki.

Przed nami ogromna przestrzeń lustra wodnego, obrzeżona wysoką trzciną i szuwarem. Na wzniesionym nieco lądzie — w oddali lasy, grupy drzew, zielone lub żółte pola, czerwone dachy miasteczka z gotycką wieżą kościoła i białą wieżą ciśnień.

Obejmujemy wzrokiem olbrzymią panoramę, żywą i barwną. Świeci bezkresny, słoneczny błękit, świeci jasna zieleń lądu, lśni refleksami tafla jeziora.

Płyniemy cicho w blaskach nieba, ziemi i wody, ku śnieżno-białej plamie, co się oderwała od przybrzeżnych zarośli i w majestacie wdzięków zbliża ku nam. Przez lornetkę widzę dokładnie wygiętą, długą szyję i nastroszone ku górze skrzydła.

Płyniemy ku niemu, a on przecina nasz kurs i zmierza ku środkowi jeziora. Już bez lornetki wszystkie jego poruszenia dokładnie widać. Wyprostował bojowo szyję, usztywnił ogon niby ster i wspaniale wiosłuje. Piersiami pruje wodę. Dwa wałki biegną jak z pod małego statku i tworzą coraz szerzej rozwarte boki trójkąta.

Ramiona człowieka silniejsze: przestrzeń maleje. Dzieli nas ledwie trzydzieści metrów. Łabędź zdradza niepokój. Jesteśmy coraz bliżej. Już tylko piętnaście metrów. Podrywa się. Wielkie skrzydła uderzają z pluskiem o wodę, unoszą go nad nią, aby po kilku wspaniałych poruszeniach znów na jezioro opuścić.

— Pierzy się teraz ptactwo, lot ma ciężki i niechętny — tłumaczy wioślarz.

Z powierzchni wody wyławiam białe, powiewne pióro. Co za subtelna delikatność puchu! Na myśl przychodzi mickiewiczowski wojewoda: „Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie..."

Zostawiamy pierwszego łabędzia pośrodku jeziora i dążymy do licznej grupy, świecącej bielą pod zieloną ścianą trzcin i rogoży.

— Tam gniazd najwięcej, ale się zbliżyć nie dadzą i w trzcinach ukryją — upewnia rybak.

Liczę: dwadzieścia sześć, same samce. Troskliwy samiec dzieli z małżonką trudy budowy gniazda i wychowania dziatwy. Gniazdo przedziwnej konstrukcji: załamane na pewnej nad wodą wysokości trzciny i rogoże tworzą elastyczny, mocny pomost, na który pta

ki kładą suche trawy. Gniazdo wisi w powietrzu, a gdy fale wzburzonego wiatrem jeziora wdzierają się w lasy trzcin, wtedy gniazdo unosi się ku górze lub zniża, kołysze lecz nie zatapia. Gdy samica idzie się pożywić, zastępuje ją na jajach przykładny małżonek. W tej chwili czuwa nad szarym potomstwem, które dopiero po dwóch latach ma nabyć zaszczytnej, śnieżnej bieli, godnej porywów miłości.

Podpływamy bliżej. Nie są tak lękliwe jak twierdzi rybak. Jedne czuwają z okiem na łódź zwróconym, inne swobodnie sięgają do dna po wodorosty. Długa szyja znika pod wodą, tylko strzępiasty bukiet piór buja po powierzchni, niby ogromny kwiat nenufaru. Po chwili wynurza się głowa, wygina szyja, puszą się skrzydła i już żegluje powoli świetny, biały korab. Nie należy zakłócać swobodnego bytu dzikich stworzeń, jeśli zaś te się nie lękają, nie należy ich oswajać z widokiem człowieka. Dwadzieścia rąk wyciągnie się życzliwie, a nawet czule, a dwudziesta pierwsza śmierć któremuś zada.

Kierujemy się w inną stronę. Półwysep zarośnięty zwartą dżunglą trzcin i rogoży. Woda płytka, więc drobniejsze ptactwo pleni się w zaroślach, roi na powierzchni. Łabędzie mają tu podobno dwa gniazda. Lecz tylko jeden samiec trzyma straże i pływa wśród ciemnoszarej masy ptactwa.

Przez szkła lornetki widzę zabawny kontrast rozmiarów i stylu. Krzyżówki, podgorzałki, nurki i kurki. Ruchliwa zgraja robi wolną drogę, bo oto między nie wpływa majestatyczny łabędź. Wyobrażam sobie, że tak właśnie wygląda nasz „Batory" lub „Sobieski", gdy wpływa do egzotycznego portu pomiędzy zgraję murzyńskich łodzi i małych stateczków.

Zbliżamy się ku nim. Rwą się krzyżówki i wzbijają w górę. Ciągną łukiem nad zaroślami. Liczę. Siedemdziesiąt dwie. Ubytku w rojowisku ptactwa nie widać. Coraz większe zbliżanie naszej łodzi zaczyna wywoływać popłoch, a po chwili paniczną ucieczkę. Najpierw poderwały się masy podgorzałek. Wypierzone i niewypierzone, trudno im lecieć, ledwie na dwa metry nad wodą. Z szumem i hałasem wpadają w trzciny. Inne, dalsze od zarośli, są w rozpaczy, biją skrzydłami po wodzie, pędzi je trwoga: łódź mają ledwie o kilka kroków od siebie. Jakiś nurek wynurza się tuż przed dziobem łodzi, spogląda na nas zdziwiony i znika pod wodą. Parę mocniejszych pchnięć, a możnaby ptactwo wiosłem zabijać.

— Stop!

Łódź stanęła, a one jeszcze rejterują. Część przerzedzonej, żywej flotyli odpływa dalej wraz z łabędziem. Biały ptak króluje wciąż między czarniawą rzeszą, a ona wokół niego czuje się bezpieczniejsza.

Łatwe zbliżenie do dzikiego ptactwa nasuwa poważne obawy. Trudne są doprawdy zadania ochrony rezerwatu. Jezioro Łukiany zapewne ktoś nazwie „rajem" ptactwa wodnego. Lepiej było by, gdyby uznano je „krajem". Wolnym krajem, suwerennym państwem skrzydlatych obywateli, uwolnionych raz na zawsze od zamachów dwunożnych sąsiadów.

Autochtony od prawieków: białe łabędzie, szare kaczki, czarne kurki, czaple i żurawie, co przetrwały Prusów i Krzyżaków, przetrwały junkierskich jegrów i barbarzyńską wojnę — mają prawo do wody, do życia tym bardziej.

W najbliższych jezioru budowlach opustoszałego majątku Łukiany, ma być podobno zainstalowany uniwersytecki zakład do badań ornitologicznych. Uczeni nie sprofanują przyrody.

Wracamy. Teraz rozmowa o łabędziach.

— Ile ich macie?

— Będzie z młodymi tu, na Łukianach, około dwustu, na Śniardwach — pewnie setka.

— Dawniej było więcej?

— Ho! przed wojną było półtora tysiąca. Strzelali z daleka. Gdyby nie bagna, co dostępu bronią, nie było by żadnego. Na wiosnę też mniej zawsze wracało

— Pożywienia wystarcza?

— Mają w wodzie dość wszystkiego.

Nachylam się nad tonią. Woda płytka i ciepła jak w nagrzanej wannie. Całe nieomal dno pokryte powiewnym, delikatnym wodorostem: rdestnicą grzebieniastą (Potamogeton pectinatus). Białe korzonki tego wodorostu najlepiej smakują łabędziom, a przy tym wśród jego subtelnych listków kryje się moc pożywnych żyjątek. Łabędź zarybku nie zjada, ikrą nie pogardza, lecz na nią nie poluje, mając istotnie obfitą spiżarnię. Mniej obfita w tym jeziorze rdestnica połyskująca (Potamogeton lucens) jest drugim ulubionym wodorostem. Rybak zowie ją „ostem wodnym" i twierdzi, że w 1936 roku na jej liściach ukazała się jakaś zaraza, od której wszystkie młode łabędzie wyzdychały. Niemcy wodorost wyłowili. Dziś znów zaczyna rozrastać się i już jest nieszkodliwy.

Zbliżamy się do drogi wjazdowej. Z żalem, po raz ostatni spoglądam na krainę wodnego ptactwa, na cichą, ogromną przestrzeń wody i nieba, i ciche, równe życie przyrody.

* * *

Maleńka przystań przy moście, do niej dociera łódź. Odpoczynek i krótki posiłek przed wypłynięciem na Śniardwy.

Na most wtaczają się ciężarowce pełne wycieczkowiczów. Pracownicy popularnej w Polsce instytucji handlowo - przemysłowej „Społem". Panie, panowie i młodzież. Z górą sto osób. Ciekawi dzikich łabędzi. Patrzą przez lornetki i widzą na przeciwległym brzegu jeziora śnieżno-białe plamy. Zobaczą jeszcze przecudny widok: lecące w słońcu łabędzie. To im musi wystarczyć.

Przepływamy pod mostem i przez gardziel cieśniny, łączącej jezioro łabędzie (Łukiany) z ogromnym jeziorem Śniardwy*).

Przy wjeździe do cieśniny tablica ostrzegawcza „Rezerwat". Droga zakazana dla wioślarzy, pożądana dla ryb. Tędy wczesną wiosną z głębin Śniardwy, odwiecznym nawykiem wiedzione okonie, liny i szczupaki, dążą na płytkie wody łabędziego jeziora. Tam wśród wodorostów odbywa się tarło, tam wylęgają się młode rybki niby węgorze na sławnym morzu Sargasów wśród Atlantyku. Młode rybki wracają wkrótce do rodzicielskiej siedziby. Widzę ich grupy pod powierzchnią wody.

Jezioro Śniardwy, to jakby małe, śródlądowe morze. Wzrok leci hen! daleko, po wyjątkowo bezfalistej

---

*) Rozległość jeziora Śniardwy wynosi 106 km^2, głębokość przeciętna około 10 m. Są miejsca i na 20 m głębokie. Sąsiednie jezioro Mikołajki jeszcze głębsze. 20 — 30 m.

powierzchni. Na horyzoncie wąski pas lesistego i gorzystego lądu oddziela jasną kopułę nieba od ciemnych toni jeziora. W stronie wschodniej pas ten staje się jeszcze węższy, a przy chmurnej pogodzie zupełnie niewidoczny.

Powiał lekki wiaterek i już powstały drobne fale, które w kierunku słońca mienią się błyskami tysięcy lusterek. Od strony północnej jeziora duże, masywne budowle folwarczne, dalej las — rezerwat czapli. Tam bowiem na wszystkich drzewach gnieżdżą się czaple.

Płyniemy wzdłuż brzegu, zarosłego trzcinami, aby w nich dostrzec obecność łabędzi. Niestety, prócz pięknego samca, pływającego z dala od trzcin, nic nie zdradza obecności owej „setki". Zaczynam wątpić. Liczby podawane przez miejscowych ludzi zwykle są optymistyczne, zdarza się, że bywają i celowo przesadne, tam zwłaszcza, gdzie chodzi o ilość dzikiego zwierza, powierzonego ich dozorowi.

Podpływamy do jedynego łabędzia, ożywiającego swą bielą szafir jeziora.

To nie Łukiany. Rwie się w górę już w odległości dwustu metrów, lecz przelatuje tuż nad nami. Zjawisko niecodzienne, czarowne na tle ogromu jeziora i bezchmurnego nieba. Słońce wysrebrza biel jego skrzydeł, poruszenia ich wywołują ciche harmonijne tony. Obrazek z bajki.

Wzniósł się w górę i poszybował nad jezioro Łukiany. A więc tamtejszy. Może samotny kawaler albo bezdzietny wdowiec...

Czemu tutejsze łabędzie tak się wstydliwie kryją w zaroślach? Jedyna wizyta o południowej porze upalnego dnia zagadki nie wyjaśni. Odwiedzana przez dzielną sportową młodzież, burzliwa i zbyt rozległa woda nie może być właściwym żywiołem i terenem stałego pobytu łabędzia, ptaka o wytwornych kształtach i miękkim puchu sybarytów.

Łabędź pragnie pozostać z dala od wizyt kajakowców i warkotu motorówek, w dzikim zaciszu, jako cenny wzór i natchnienie dla artystów.

Jan Szczepkowski

JAN DOBRZYŃSKI

JESZCZE O WALCE Z KŁUSOWNICTWEM

Artykuł kolegi Jerzego Oświecimskiego w numerze 6 „Łowca" pt. „Walka z kłusownictwem w świetle prawa", aczkolwiek wyczerpująco opracowany w zakresie przepisów, ściśle dotyczących prawa łowieckiego, nasunął mi jednak konieczność dodatkowego omówienia tych przepisów kodeksu karnego, które wprawdzie nie są bezpośrednio związane z zagadnieniami łowieckimi, w praktyce jednak mają ogromne znaczenie dla zwalczania kłusownictwa.

Mam na myśli tzw. paserstwo, objęte przepisami artykułów 260 i 261 kodeksu karnego, w których podstawą karania jest społeczna szkodliwość obrotu przedmiotami (a więc i ubitą zwierzyną), uzyskanymi za pomocą przestępstwa. Zdobycie zwierzyny za pomocą przestępstwa jest w zrozumieniu kodeksu karnego, naruszeniem cudzego prawa polowania, karane na drodze sądowej. Nie będzie zaś przestępstwem, a jedynie wykroczeniem z artykułu 77 prawa łowieckiego, ubicie zwierzyny w czasie ochronnym (oczywiście przez uprawnionego do polowania) i dlatego też osoba, nabywająca taką zwierzynę, nie będzie odpowiadać z artykułu 260, względnie 261.

Jak wiele dziś mamy wypadków handlu mięsem nielegalnie ubitej zwierzyny, właśnie przez naruszenie cudzego prawa polowania czy to z bronią palną w ręku, czy to wnykami itp. Jakże wielu restauratorów, rzeźników lub chłopów na wsi korzysta z taniej „okazji" zaopatrzenia się w mięso sarny, jelenia lub dzika zaofiarowane im przez kłusownika, nieraz — jak to podaje kolega Oświecimski w swoim artykule — uni



Na sady (złoty kacze) *fot. Z. Drzewicki*

formem lub stanowiskiem pozorującego swoje rzekome uprawnienie do strzelania łani i następnie sprzedania jej w najbliższej wiosce.

W wielu wypadkach kłusownik, nie schwytany na gorącym uczynku, unika odpowiedzialności, a bezkarny handel zwierzyną sprzyja doskonale dalszemu rozwojowi kłusownictwa. Tamę temu stawiają dopiero przepisy artykułów 260 i 261 kodeksu karnego, ostrzegając:

Artykuł 260: „Kto nabywa lub w jakimkolwiek celu przyjmuje rzecz **uzyskaną za pomocą przestępstwa** albo pomaga do jej zbycia lub ukrycia, podlega karze więzienia do lat 5 i grzywny".

Artykuł 261: „Kto nabywa lub w jakimkolwiek celu przyjmuje rzecz, o której na podstawie towarzyszących okoliczności **powinien przypuszczać, że została ona uzyskana za pomocą przestępstwa**, albo pomaga do jej zbycia lub ukrycia, podlega karze aresztu do lat 2 lub grzywny".

Redakcja tych przepisów jest prosta i jasna: karalne jest nabycie (obojętnie czy odpłatne czy darmowe) lub w jakimkolwiek celu przyjęcie (a więc na przechowanie, do przesłania, doręczenia, nawet bez chęci zysku, bezinteresownie) rzeczy, pochodzącej z przestępstwa, bądź też pomoc udzielona do zbycia lub ukrycia tej rzeczy.

W pierwszym wypadku (artykuł 260), gdy chodzi o świadome paserstwo, ustawodawca obszedł się surowo z przestępcą, który ma świadomość, iż rzecz ta pochodzi z przestępstwa, i dlatego przewidział karę więzienia do lat 5, a nadto grzywnę, biorąc pod uwagę wielką społeczną szkodliwość tego przestępstwa, stanowiącego zachętę i ułatwiającego przestępczy proceder.

W drugim wypadku (artykuł 261) ustawa uderza w tych, którzy chcą ujść bezkarnie, tłumacząc się — „Ja nie wiedziałem, że sarna, którą kupiłem, pochodziła od kłusownika". Areszt do lat 2 albo grzywna, jest karą dla tych, co „nie wiedzieli", choć na podstawie okoliczności towarzyszących powinni przypuszczać, że sprzedawana lub zaofiarowana im zwierzyna pochodziła z kłusownictwa (przestępstwo z artykułu 270). Tymi okolicznościami będzie: niska cena sprzedaży, zazwyczaj późna pora, skryty sposób dostarczenia itp okoliczności, łatwe zresztą do ustalenia i oceny.

Społeczeństwo powinno mieć wpojone przekonanie, najlepiej drogą zarządzeń administracyjnych, że tylko od tego wolno nabyć zwierzynę, kto wykaże się zaświadczeniem łowczego towarzystwa myśliwskiego, asygnatą nadleśnictwa państwowego na prawo odstrzału lub też ma sam własny obwód łowiecki. Ten warunek z jednej strony, z drugiej zaś strony energiczne ściganie paserów przez organa Polskiego Związku Łowieckiego, w ścisłej współpracy z organami bezpieczeństwa i sądem, może przyczynić się wydatnie do obniżenia tego najgroźniejszego dla naszych zwierzostanów rodzaju kłusownictwa z chęci zysku. Przykładne ukaranie przez sąd tych, którzy skusili się na niską cenę zwierzyny od kłusownika, wyleczy ich radykalnie, choćby tylko grzywną (artykuł 261), a innych odstraszy od takich transakcyj, które w wyniku końcowym wykażą, iż całkowicie nie wytrzymują „kalkulacji". Niejednokrotnie zaś dochodzenia Milicji Obywatelskiej lub rozprawa sądowa pozwolą na wykrycie samego kłusownika i doprowadzą do ukarania, a w każdym razie odstraszą go i odbiorą „rynek zbytu".

Uwagi te dorzucam do wywodów mego poprzednika w intencji, którą on się kierował; obyśmy wreszcie z naszych łowisk wyparli barbarzyńskie kłusownictwo.

Jan Dobrzyński.

MAKSYMILIAN KRYGICZ

POMÓR DZIKÓW W POZNAŃSKIM

Na obszarze województwa poznańskiego (łącznie z Ziemią Lubuską) stwierdzono w miesiącach letnich bieżącego roku (maj, czerwiec, lipiec) szereg wypadków śmierci dzików na pomór.

Pierwsze wypadki tej groźnej choroby stwierdzone zostały w maju br. w lasach nadleśnictwa państwowego. Rokitno oraz Nadleśnictwa Skwierzyna. Ogółem znaleziono 111 padłych dzików różnej wielkości i różnego wieku.

W czerwcu i lipcu br. stwierdzono nieliczne wypadki na terenie powiatu Międzyrzecz w lasach Nadleśnictwa Państwowego Pszczew i Międzyrzecz. Według podania nadleśniczych groźna ta choroba świń spowodowała ubytek dzików na około 50% stanu przed jej wybuchem.

W obu wymienionych nadleśnictwach służba leśna leśnictw: Pszczew, Żurawiec, Szarcza, Wysoka Brzoza, Bogowicko i Gorzyca, znalazła ogółem 41 padłych dzików różnego wieku i różnej wielkości, w mniejszym lub większym rozkładzie gnilnym. Sekcja niektórych lepiej zachowanych zwłok padłych dzików, przeprowadzona przez powiatowych lekarzy weterynaryjnych, wykazała pomór świń.

Dzięki ścisłej współpracy państwowych władz weterynaryjnych i lasów państwowych oraz wydaniu na czas przez poznańskie wojewódzkie władze weterynaryjne i dyrekcje lasów państwowych odpowiednich zarządzeń i pouczeń w terenie, tudzież ścisłej współpracy powiatowych lekarzy weterynaryjnych z nadleśniczymi, którzy z całą energią wystąpili do walki z tą groźną zarazą przez natychmiastową likwidację dzików chorych i usuwanie zwłok dzików padłych, wstrzymane zostało szerzenie się tej choroby, tak że obecnie nowych wypadków nie notuje się.

O dużej sile zaraźliwości tej choroby dowodzą fakty zachorowania na pomór świń domowych, zwłaszcza świń tych pracowników leśnych, którzy bądź to weszli w posiadanie mięsa dzików chorych na pomór, bądź też, jak to stwierdzono w gromadzie Szarcz i Zielomyśl, powiatu Międzyrzecz, brali ściółkę dla świń ze stogów, w których chore dziki miały przygodne chwilowe legowisko.



Dwaj aporterzy *fot. A. Gaponou*

Ponieważ w walce z pomorem u świń domowych

i dzików zainteresowane są nie tylko państwowe władze weterynaryjne i władze lasów państwowych, lecz także władze łowieckie i cały świat myśliwski, przeto uważam za wskazane podać do wiadomości kolegów pokrótce objawy tej choroby i sposób jej zwalczania.

Pomór świń i dzików jest chorobą zaraźliwą, której ulegają świnie domowe i dziki bez względu na wiek. Chorobę tę wywołuje nieznany nam zarazek. Zarażenie następuje przez bezpośrednie zetknięcie się osobników zdrowych z chorymi lub za pośrednictwem karmy lub przedmiotów zanieczyszczonych wydzielinami sztuk chorych. Szerzeniu się choroby sprzyjają przede wszystkim wspólne pastwiska, wspólnie używane stawki i różnego rodzaju kałuże.

Objawy chorobowe występują zwykle w 4 do 10 dni po zakażeniu. Chore osobniki tracą apetyt, gorączkują, stają się osowiałe, pokładają się, z oczu wypływa ropiasto-śluzowata ciecz, kał, z początku zatrzymany, przechodzi później w rozwolnienie, czasem z domieszką krwi. U świń domowych pojawiają się na skórze głowy, grzbietu, łopatek i zewnętrznej stronie kończyn — czerwone kropkowate plamy, których u dzików, ze względu na czarne ubarwienie skóry, nie spostrzega się.

Śmierć osobnika chorego, dotkniętego pomorem, następuje po 2—3, rzadziej po siedmiu dniach choroby. W niektórych wypadkach choroba przyjmuje przebieg przewlekły i wtedy śmierć następuje dopiero w przeciągu kilkunastu dni. Wyzdrowienie bardzo rzadkie.

U świń padłych lub zabitych po kilkudniowej chorobie uwidaczniają się na błonach śluzowych jamy ustnej, gardła, żołądka, jelit cienkich, a przede wszystkim jelit grubych, złogi błonicowe. Na błonie śluzowej jelit grubych, zwłaszcza jelita ślepego, zauważa się strupy (guzki), dochodzące do wielkości orzecha laskowego, barwy szarej lub szaro-żółtawej. Te strupy właśnie są charakterystyczne dla tej choroby.

Jeśli chodzi o dziki, to specjalną należy zwrócić uwagę na te sztuki, które bądź to w biegu słabo zdążają za stadem, bądź też widocznie osłabione, samotne, spłoszone, z trudem oddalają się.

Dziki takie, jako podejrzane o pomór, należy bezwzględnie ubić (odstrzelić), natychmiast do ziemi zakopać, aż do przybycia odnośnego powiatowego lekarza weterynaryjnego, którego jak najszybciej (telefonicznie, telegraficznie) należy powiadomić, celem wykonania przez niego sekcji i ustalenia istoty choroby.

W razie stwierdzenia pomoru należy na resztę dzików danego rewiru przedsięwziąć obławy celem ich odstrzelenia i w ten sposób powstrzymać szerzenie się choroby.

Jedynie ścisła współpraca wszystkich zainteresowanych w walce z pomorem czynników i ścisłe wykonywanie rygorystycznych zarządzeń, może powstrzymać szerzenie się pomoru i zapobiec wyniszczeniu dzików oraz uchronić rolników i innych posiadaczy świń domowych od elementarnej klęski masowego padania świń, jakiego byliśmy świadkami w Polsce w roku 1926.

Dr Maksymilian Krygicz
łowczy powiatowy
na miasto i powiat poznański.

ZBIGNIEW KOWALSKI.

Międzynarodowe zawody strzeleckie we Wrocławiu

W dniu 19 września 1948 roku odbyły się międzynarodowe zawody w strzelaniu do rzutków, zorganizowane przez Polski Związek Łowiecki, w ramach Wystawy Ziem Odzyskanych we Wrocławiu.

W zawodach wzięły udział drużyny: czechosłowacka i polska. Drużyna radziecka w ostatniej chwili przyjazd swój odwołała.



Na standzie wrocławskim *fot. Z. Kowalski*

Zawody odbyły się na odbudowanym z pomocą Głównego Urzędu Kultury Fizycznej pięknym standzie we Wrocławiu.

W barwach czechosłowackich wystąpili pp.: Milos Papezik, Alois Kuba, Rudolf Stoupa, Milos Nebrensky, Radoslav Michera, Jan Kupec, Josef Fort.

Drużyna polska zaś strzelała w składzie kolegów: Wilhelm Ziegenhierte, Józef Kiszkurno, Witold Jeziorowski, Roman Feill, Tadeusz Obutelewicz, Konstanty Łyskowski, Stanisław Czerski.

Poza konkursem z drużyny polskiej strzelali koledzy: Kazimierz Zalewski i Zygmunt Kiszkurno.

Publiczność z zainteresowaniem obserwowała emocjonującą walkę o zdobycie tytułu mistrzowskiego.

W ostatecznej rozgrywce pierwsze miejsce zdobył:

I. Kol. Wilhelm Ziegenhierte (Polska), strzelając 95 na 100 możliwych rzutków.

II. Kol. Milos Papezik (C.S.R.), strzelając (w rozgrywce) 94 na 100 możliwych rzutków.

III. Milos Nebrensky (C.S.R.), strzelając (w rozgrywce 94 na 100 możliwych rzutków.

IV. Józef Kiszkurno (Polska), strzelając 93 na 100 możliwych rzutków.

V. Roman Feill (Polska), strzelając 91 na 100 możliwych rzutków.

W spotkaniu drużynowym, towarzyskim, większą ilość punktów (448 na 443) uzyskali zawodnicy czechosłowaccy.

Wielkim sukcesem naszego odradzającego się sportu w strzelaniu do rzutków jest uzyskanie przez 3 zawodników wyniku powyżej 90% trafnych. Szczególnie, że treningi drużyny polskiej, rozpoczęte dopiero w maju br., nie przekraczały dotychczas 8 dni, (800 strzelonych rzutków).

Zawodnicy czechosłowaccy zaś brali udział w br. w szeregu spotkań międzynarodowych oraz krajowych i przeciętnie każdy zawodnik czechosłowacki strzelał do ca 12.000 rzutków.

Na specjalną uwagę zasługuje ostatnia seria strzelań, w której koledzy Ziegenhierte, Kiszkurno i Feill na 20 możliwych, rozbili wszystkie 20 rzutków.

Piękne nagrody ufundowali na zawody: Minister Leśnictwa dla najlepszej drużyny, którą zdobył zespół czechosłowacki, Minister Kościński — komisarz Wystawy Ziem Odzyskanych — dla najlepszego zawodnika zagranicznego — którą zdobył Papeżik Miloś (C.S.R.), Główny Urząd Kultury Fizycznej — dubeltówka marki Sauer — dla zwycięzcy indywidualnego, którą zdobył kol. Wilhelm Ziegenhierte. Polski Zwią-

zek Łowiecki i Spółdzielnia „Jedność Łowiecka"—drugie i trzecie nagrody w postaci skórzanych toreb i pasów.

Kol. Wilhelm Ziegenhierte zdobył, poza nagrodami krajowymi, nagrodę czechosłowackich myśliwych — piękny karabinek sportowy. Podkreślić w tym miejscu należy zacięcie sportowe i formę fizyczną kol. Ziegenhierta, który, pomimo dawno ukończonych 50 lat, przestrzelał młodych, świetnych zawodników czechosłowackich.

Nagrody wręczali na standzie: kol. naczelnik Mniszek Tchorznicki, w imieniu Ministra Leśnictwa, wicewojewoda dolno-śląski, dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Kultury Fizycznej oraz wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego, kol. Józef Skrzypek.

Zawody zaszczycili ponadto swą obecnością: prezydent m. Wrocławia — Bronisław Kupczyński oraz dowódca D.O.W. — generał Daniłowski.

Po zawodach odbyło się przyjęcie dla strzelców czechosłowackich, które przeciągnęło się do późnego wieczora.

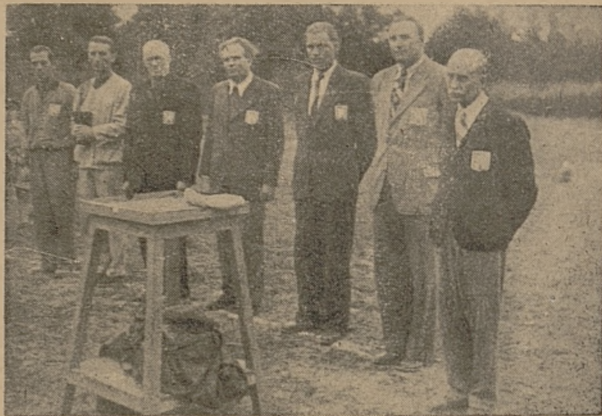
Tak więc, po zawodach z myśliwymi radzieckimi w czerwcu br., zostały nawiązane przez Polski Związek Łowiecki nowe, miłe stosunki sportowo-myśliwskie z drużyną bratnią narodu słowiańskiego.

Na zakończenie kierownik drużyny czechosłowackiej, inż. Dżimal, zaprosił zawodników naszego Związku na zawody w strzelaniu do rzutków, które mają się odbyć w maju przyszłego roku w Pradze Czeskiej.

A więc do zobaczenia koledzy!

* * *

Dnia 18 IX br. poprzedził międzynarodowe zawody strzeleckie konkurs otwarty w strzelaniu do rzutków, w którym wzięli udział strzelcy z całej Polski.



Drużyna czeskosłowacka *fot. Z. Kowalski*

Pierwsze miejsce zdobyli w tym konkursie koledzy: Michał Kula — Wrocław (15/20), dr Józef Ciążyński — Leszno (14/20) i Michał Pilaczyński — Bydgoszcz (13/20).

Zwycięscy otrzymali nagrody Polskiego Związku Łowieckiego i Spółdzielni „Jedność Łowiecka".

Z. Kowalski.



I.

„Psy — rasy, hodowla, szkolenie" — mgr L. Smyczyński, Katowice 1948 r., stron 199.— Komisja Główna Kynologiczna PZŁ, w przedmowie do wymienionej książki, pisze: „Praca p. Smyczyńskiego pojawia się jako pierwsza powojenna książka, traktująca z fachową znajomością rzeczy o wychowaniu i tresurze psa z uwzględnieniem specyficznych cech jego charakteru". Pierwszy moment — fakt, że jest to pierwsza powojenna książka polska o psach — każe nam zwrócić na jej ukazanie się uwagę wszystkich myśliwych, którzy korzystają, względnie powinni korzystać z pomocy psa przy polowaniach. Moment drugi podniesiony w przedmowie — uwzględnienie przez autora specyficznych cech charakteru psa — jest, moim zdaniem, najistotniejszym rysem tej pracy, wyróżniającym ją z pośród wielu książek, poświęconych kynologii.

„Chcąc wychować i wyszkolić psa na dobrego towarzysza i pożytecznego pomocnika, należy z jednej strony zrozumieć jego psychikę, a z drugiej — znaleźć drogę do wypowiedzenia swej woli w sposób dla niego zrozumiały"— twierdzi autor. W pierwszym wypadku należy sobie uświadomić, że pies w stanie dzikim żył zawsze w gromadzie, w sforze i ten instynkt sfory nakazuje mu i dziś poszukiwać w nowym otoczeniu towarzysza i przewodnika, którym staje się siłą rzeczy pan — hodowca i myśliwy. Wychowawca powinien wykorzystać ten instynkt wrodzony, aby narzucić psu przekonanie, że on — pan jest przewodnikiem sfory, i że pies winien mu bezwzględny posłuch i wierność.

W wypadku drugim pamiętać należy, że pies, tak jak wszystkie zwierzęta, nie posiada zdolności do abstrakcyjnego myślenia, i że z mowy ludzkiej może zapamiętać tylko ograniczoną ilość wyrazów, jako dźwięki powiązane przez skojarzenie z faktami, które po nich następują, względnie z czynnościami, które pies powinien wykonać, jeżeli chce osiągnąć skutek przyjemny lub uniknąć skutków przykrych. Otóż od wychowawcy zależy, aby przez właściwe postępowanie i naukę wykształcić inteligencję psa, wywołując w umyśle jego odpowiednie skojarzenia, które utrwalają przekonanie, że po odebraniu pewnych bodźców — rozkazów słownych, dotykowych lub gestów — powinien on wykonać jakąś pracę albo czegoś zaniechać, o ile chce uniknąć niemiłych skutków lub doznać przyjemnych wrażeń.

Wychodząc z tych założeń autor staje na stanowisku, że właściwy stosunek pana do psa polegać winien nie na tresurze opartej o przymus i karę, ale na wychowaniu, posiłkującym się przede wszystkim nagrodą i pochwałą. Wychowawcę obowiązuje łagodna stanowczość, przyjacielska cierpliwość i kompletne opanowanie, zaś od psa nie można żądać zbyt szybkich postępów, a przy ćwiczeniach — nie rozpraszać jego uwagi na kilka rzeczy naraz, dążąc cierpliwie do całkowitego opanowania przezeń jednego tylko ćwiczenia.

Kierując się tymi przesłankami, autor podaje umotywowane wskazówki co do wyboru psa, jego wychowu i żywienia, wreszcie prowadzenia i wychowania. Pozostawiając ocenę wartości tej fachowej części książki specjalistom, pragnę tu zasygnalizować ukazanie się tak pożytecznego dziś podręcznika i podkreślić jego oblicze swoiste.

J. Gieysztor.

II

POMORSKI BIULETYN ŁOWIECKI" — Nr 6. 1948 r. Wydawnictwo Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, str. 24.

Kolejny (6) zeszyt „Pomorskiego Biuletynu Łowieckiego" porusza aktualne zagadnienie „Dokarmianie zwierzyny drobnej w porze zimowej". Wychodząc z założenia, że zabieg ten jest konieczny dla osiągnięcia trzech celów podstawowych: utrzymania zwierzyny przy życiu w niekorzystnych warunkach klimatycznych, zapewnienia zdrowego, dobrze wyrośniętego i licznego potomstwa, wreszcie przeciwdziałania wędrówkom i utrzymania zwierzyny w łowisku — autor, kol. J. Goetz, podaje szczegółowe wskazówki sposobu dokarmiania zajęcy, królików, bażantów i kuropatw.

Tenże autor, kol. Goetz, gorący i odważny obrońca zwierzyny, czyni poważne zastrzeżenia co do sposobów polowań na dziki. Wypowiadając się zdecydowanie przeciw strzelaniu do dzików śrutem, nawet do warchlaków, autor, celem ochrony loch, prowadzących młode, proponuje przyjęcie — jako zasady powszechnej — zarządzenia Ministerstwa Leśnictwa, zalecającego swemu personelowi wykonywanie polowań na dziki w okresie od 1 czerwca do 1 października wyłącznie przez odstrzał indywidualny (z podchodu lub zasiadki), bez użycia naganki czy psów. Jest to zupełnie słuszne, gdyż w pędzeniach ukazuję się na linii wpierw locha, a dopiero za nią w pewnej odległości warchlaki. Parę sekund trwająca widoczność pędzonej sztuki nie daje myśliwemu możności dojrzenia, czy idą za nią młode, podczas gdy przy polowaniach z podchodu czy zasiadki jest to prawie zawsze możliwe.

W tym samym kierunku — oszczędzania zwierzyny przed pokaleczeniem czy bezużytecznym jej zmarnowaniem — idą rady kol. Pac-Pomarnackiego, omawiającego sposoby polowania na rogacze. Zaleca on dokonywania polowań z podjazdu przede wszystkim wczesnym rankiem, gdyż nie tylko trwają one znacznie dłużej niż wieczorne, ale zapewniają możność dojścia sztuki postrzelonej w ciągu całego dnia, podczas, gdy po zapadnięciu zmierzchu większość postrzałków ginie bezużytecznie.

Podobnież, zdaniem autora, strzelać należy zasadniczo tylko do sztuki stojącej, nie będącej w biegu, jeżeli się chce zapobiec jej zmarnowaniu — zwłaszcza przy powszechnym braku tropowców.

Dużo miejsca w „Biuletynie" zajmuje sprawa polowań na zające „w kotły". W artykułach mjr. M. Skoniecznego oraz E. Szamborskiego autorowie podnoszą duże zastrzeżenia przeciwko bezwzględnemu i powszechnemu zakazowi polowania w kotły, gdyż warunki terenowe i lokalne są zbyt rozmaite. To też wysuwana jest koncepcja, aby przy Radach Powiatowych powstały osobne komisje, które by, na podstawie zgromadzonych danych, orzekały o najwłaściwszym sposobie odstrzału drobnej zwierzyny.

Treść obfitego i ciekawego zeszytu zamyka sprawozdanie kol. L. Dąbrowskiego o „Lisie w powiecie wąbrzeskim".

J. Gieysztor

III

Nowe czasopismo łowieckie. Takim mianem uważam za stosowne ochrzcić wydawnictwo „Komunikatów wewnętrznych" Warszawskiej Rady Wojewódzkiej. Jest to bowiem naprawdę informacyjne pismo łowieckie, podające w skrócie wszystkie ważniejsze momenty, interesujące zrzeszonego myśliwego, a zaczerpnięte zarówno z zarządzeń naczelnych władz Polskiego Związku Łowieckiego, i z rozporządzeń władz administracyjnych Państwa, jak również z uchwał Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i ze spostrzeżeń osobistych jej członków.

Wydawnictwo Komunikatów rozpoczęto z początkiem br. Dotąd ukazały się trzy zeszyty, rozsyłane początkowo tylko łowczym i podłowczym powiatowym, a ostatnio również zarządom wszystkich stowarzyszeń łowieckich na terenie województwa warszawskiego.

Dla charakterystyki pisma, drukowanego na powielaczu, podaję poruszone w zeszycie trzecim Komunikatu sprawy: zamknięcie polowania na kuropatwy, egzaminy łowieckie i zaopatrzenie rad powiatowych w podręcznik „Podstawy łowiectwa", rejestracja stowarzyszeń łowieckich, zgłoszenie wydzierżawionych terenów i właściwy ich podział pomiędzy koła, tryb przedłużenia pozwoleń na posiadanie broni, wymiar składki członkowskiej na 1948 r. i obowiązek wpłacenia jej do końca marca, zarządzenie Ministerstwa Administracji Publicznej o obowiązku współpracy władz administracyjnych z P.Z.Ł. i o niedopuszczalności pobierania na rzecz związków samorządowych podatku od broni myśliwskiej, obchody 25-lecia P.Z.Ł. w Warszawie, Płocku i Ciechanowie, ocena pracy łowczych powiatowych i zmiany personalne.

Życzyć należy, aby podobne Komunikaty wewnętrzne, wydawane poza Warszawą, także w Kielcach i Toruniu, powstały również przy wszystkich pozostałych radach wojewódzkich. Podniosło by to ogromnie sprawność placówek terenowych Związku.

J. Gieysztor

IV

Dr Kazimierz Demel: „ZWIERZĘ I JEGO ŚRODOWISKO". Wydawca Trzaska, Evert i Michalski Stron 421, cena 1.000 złotych.

Nowa książka doktora Demela, przedstawiając gruntownie i wyczerpująco sprawę zależności fauny od geograficznych i przyrodniczych warunków bytu zwierząt, wypełnia istniejącą dotychczas lukę w naszym piśmiennictwie, które, za wyjątkiem niewielu tylko broszur lub fragmentarycznych opracowań, nie mogło poszczycić się posiadaniem obszerniejszego, a dostępnego dla wszystkich zarysu ekologii zwierząt.

W dziedzinie praktycznej wiedzy przyrodniczej, w ochronie przyrody, w ochronie zwierzyny łownej, w sprawach aklimatyzacji, w badaniu chorób przenoszonych przez zwierzęta etc., nie sposób dziś orientować się bez szerokiego oparcia o ekologię, badającą życie zwierząt w ich naturalnym otoczeniu, zespole, siedlisku i na tle krajobrazu.

Autor, po zestawieniu dwu głównych środowisk, w których żyją zwierzęta: wody i lądu, omawia najważniejsze formacje lądowe, najbardziej właśnie interesujące myśliwego-hodowcę. Obok pustyni, stepu, gór lub tundry, odrębnym i charakterystycznym środowiskiem o bardzo zróżniczkowanym charakterze, odcinającym się wybitnie od innych formacji florystycznych, jest las. Nic przeto dziwnego, że temu właśnie środowisku, będącemu ważną ostoją wielu gatunków zwierzęcych, poświęca się w książce dużo miejsca i dużo uwagi. Nie znaczy to jednak, aby zapomniano o tak ważnych — szczególnie w naszych krajowych warunkach — i ciekawych środowiskach, jakimi są pola uprawne oraz zespoły łąkowo-pastwiskowe.

Szeroko potraktowana jest w dziele doktora Demela zależność świata zwierzęcego od warunków klimatycznych. Dzienne i nocne życie zwierząt, rola temperatury, wilgotności, wreszcie wiatrów i ciśnienia powietrza w rozmieszczeniu i w wytworzeniu się typów klimatycznych zwierząt — to najważniejsze tematy tego rozdziału.

Każdy myśliwy zauważył niechybnie jak wielki jest wpływ podłoża, gleby oraz wszystkich innych czynników terenowych na występowanie i na liczebność określonych gatunków zwierząt, i jak ścisła istnieje zależność pomiędzy szatą roślinną, jako siedliskiem mikroklimatycznym i podstawą pożywienia zwierząt roślinożernych, a całością świata zwierząt; rozdział, traktujący o czynnikach biotycznych, należy do najciekawszych i przeczyta go z zajęciem i z prawdziwym pożytkiem nie tylko specjalista przyrodnik lub geograf, ale i myśliwy, który znajdzie tu wiele cennych wiadomości, dających się spożytkować praktycznie w dziedzinie hodowli.

Wspaniale przedstawił autor w swej książce zasady życia zespołowego zwierząt, zależność odżywczą gatunków oraz naturalne uwarunkowanie stanu równowagi biologicznej — cechy danego zespołu, od szeregu czynników korzystnych lub niekorzystnych dla gatunku. Ciekawe będzie zapewne dla wielu czytelników przedstawienie przez autora według E. T. Setona: The Arctic Prairies, 1912, następującego wykresu, ilustrującego wahania ilościowe zajęcy (górna krzywa) i rysi (dolna krzywa) w drugiej połowie XIX wieku, na podstawie danych kompanii Zatoki Hudsońskiej.

Zarówno leśnika jak i myśliwego interesować zawsze będzie struktura ilościowa i jakościowa zwierzyny, występującej w określonym łowisku lub na określonym obszarze i dlatego podane przez Demela — w oparciu o wszechstronne metody wypróbowane

opracowane, zwłaszcza przez badaczy anglosaskich i skandynawskich — sposoby obliczania i szacowania, zasługują na bliższą i wnikliwszą uwagę.

Przy pomocy bogatego materiału opisowego przedstawia autor żywo i barwnie związki, zachodzące pomiędzy życiem i rozmieszczeniem geograficznym zwierząt, a niszczycielskim lub modyfikującym wpływem człowieka, przy czym więcej zajmuje się on zgodnie z założeniami ekologicznymi swej pracy — wpływami pośrednimi, polegającymi na zmianie naturalnych siedlisk i warunków bytu zwierząt przez gospodarczą i kulturalną działalność człowieka (np. wyrąbywanie lasów i zaorywanie stepów lub ich przemiana w lasy sztuczne oraz w łąki kultywowane).

Idea ochrony przyrody, wypływająca z motywów nie tylko estetycznych i etycznych, lecz także naukowych i z dobrze rozumianych względów gospodarczych, pomaga w wydatny sposób naukowemu badaniu życia zwierząt w ich naturalnych środowiskach (rezerwaty, parki narodowe), to też autor kończy książkę sformułowaniem związku, istniejącego pomiędzy nowoczesną ochroną przyrody oraz ekologią zwierząt i życiem praktycznym.

Praca Demela jest wydana starannie, bogato ilustrowana rycinami zwierząt, fotografiami charakterystycznych siedlisk, wykresami i diagramami, podaje literaturę przedmiotu tak polską jak i obcą, i stanowi cenną pozycję w dziale przyrodoznawstwa.

Dr Marian Ludziński.

Myśliwi bydgoscy obchodzą 25-lecie PZŁ

Przypadający w roku bieżącym jubileusz 25-lecia istnienia Polskiego Związku Łowieckiego obchodzony był szczególnie uroczyście przez myśliwych bydgoskich. Z inicjatywy Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego odbyło się w dniu 31. 10. 1948 w pięknie udekorowanej emblematami PZŁ sali BTW uroczyste zebranie, w którym wzięli m. inn. udział: wicewojewoda Jakubowicz, ppłk Thomas z DOW, p. o. prezes Wojew. Rady Łowieckiej inż. Zdrójkowski i inni. Ponad 300 zebranych myśliwych powitał Łowczy Powiatowy, dr Soboczyński, nawiązując do tradycji patrona łowiectwa, św. Huberta.

Historyczny przekrój 25-letniej działalności PZŁ naszkicował w ciekawym referacie inż. Zdrójkowski składając organizacji bydgoskiej życzenia dalszej, owocnej pracy.

O aktualnych zagadnieniach łowiectwa mówił obszernie prezes Towarzystwa, kol. J. Patalong, podkreślając szczególnie wychowawcze i gospodarcze znaczenie polowania, oraz wskazując na głębokie przemiany społeczne w składzie PZŁ po wojnie.

Z czarem poezji polskiej, opiewającej uroki łowiectwa, zapoznał zebranych dyrektor Teatru Miejskiego w Bydgoszczy, kol. Al. Gąssowski, recytując wyjątek z „Pana Tadeusza" (polowanie na niedźwiedzia i koncert Wojskiego na rogu) oraz wiersz Juliana Ejsmonda.

Na zakończenie oficjalnej części zebrania inż. Zdrójkowski dokonał w imieniu Kapituły dekoracji kilku zasłużonych myśliwych bydgoskich odznaczeniami łowieckimi. Srebrne medale otrzymali: kol. Jan Segatyński, leśniczy Henryk Bolcek i leśniczy Bol. Ciżmowski. Bronzowymi medalami odznaczeni zostali: kol. Al. Koniec i kol. Winc. Kolańczyk.

W drugiej części zebrania wyświetlony został doskonały film dźwiękowy produkcji radzieckiej pt. „Las żyje".

Strzelanie myśliwskie w Racocie

Dnia 29. 9. 48 r. przy pięknej pogodzie odbyło się w Racocie strzelanie myśliwskie o tytuł mistrza powiatu Kościan.

Otwarcia strzelania dokonał łowczy pow. kol. A. Wiśniewski, witając przybyłych myśliwych i podkreślając, że ta próbna impreza strzelecka ma być sprawdzianem naszych kwalifikacji i zdolności strzeleckich oraz wykazania sprawności myśliwskiego strzelania w ścisłym tego słowa znaczeniu.

Na samym wstępie został oddany strzał honorowy do tarczy na cześć Prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej, Bolesława Bieruta, oraz drugi strzał — na cześć Wysokiego Protektora Polskiego Związku Łowieckiego, Marszałka Polski, Michała Żymierskiego.

Strzelanie do rzutków, wyrzucanych przez wyrzutnie seriami po 5 sztuk, odbywało się w ten sposób, że zawodnik stawał na standzie na oznaczonym numerze, wywołując rzutki rozkazem „daj". Składać się do strzału wolno było z chwilą ukazania się krążka w powietrzu.

Do finału weszło 6 zawodników. Po rozstrzelaniu eliminacyjnym, tytuł mistrza powiatu zdobył kol. Władysław Wrzosek; pierwszego wicemistrza kol. Jerzy Speichert; drugiego wicemistrza kol. Roman Papke.

Strzelanie do ruchomego dzika na przebiegu pola 5 m. Dzik ukazywał się po sygnale trąbki myśliwskiej. Zawodnik strzelał z odległości 50 m. z wolnej ręki kulą z broni ładowanej na stanowisku.

Do finału weszło 3 myśliwych. Tytuł mistrza powiatu w kuli zdobył łowczy A. Wiśniewski; pierwszego wicemistrza kol. Szczęsny Radomski; drugiego wicemistrza kol. Antoni Borowski.

Impreza ta po raz pierwszy zorganizowana przez myśliwych powiatu kościańskiego wypadła bardzo dodatnio i spełniła swoje zadanie, dając bodźca do urządzenia dalszych podobnych imprez ku pożytkowi myśliwych i chwale Łowiectwa Polskiego.

U.





Z hodowli norek

Bardzo często zdarza się, że hodowla norek zostaje zaatakowana przez mrówki czerwone. Mrówki intensywnie rzucają się na podawane norkom mięso i zanieczyszczają je wydzielinami.

Spożywanie takiego zanieczyszczonego mięsa wpływa ujemnie na samice kotne, które stają się nerwowe i często ronią, marnując w ten sposób mioty.

Mrówki atakują również bezpośrednio błonę śluzową wszystkich otworów na ciele noworodka oraz skórę na brzuszkach maleńkich norek.

Pragnąc zapobiec temu stanowi, należy mrówki tępić w okolicy klatek, klatki zaś zabezpieczyć przez ustawienie ich na podwyższeniu z pustaków, cegieł, kamieni. Podstawy te bielimy wapnem, zlewając także wapnem ziemię naokoło tych podstaw.

Jak należy leczyć ranki zadane norkom przez mrówki? — Należy je smarować balsamem peruwiańskim. W ten sposób leczone zwierzątka nie będą miały uszkodzonej skórki i będą dawały dobre potomstwo.

J. Karolini.

Egzotyczny gość

Dnia 9 września br. dostarczono do pracowni preparatorskiej Muzeum Śląskiego w Bytomiu niezwykły gatunek ptaka z rodziny mew. Był to piękny okaz rybitwy wielkodzióbej (Hydroprogne tschegrava Lep.), ustrzelonej dnia poprzedniego przez ob. Ant. Mazura w Kuźni Nieborowickiej koło Gliwic.

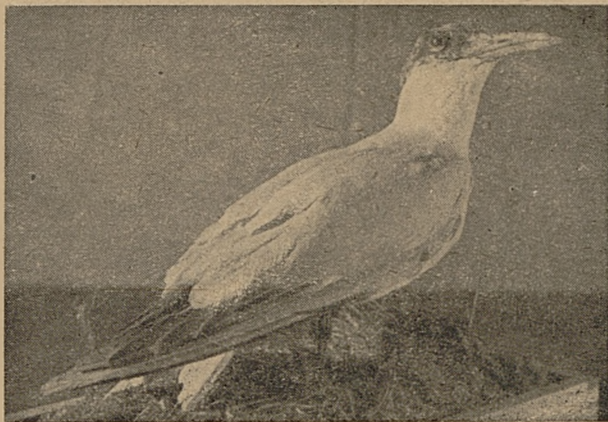
Ciekawy w powyższym wypadku jest fakt pojawienia się typowo z morzem związanego ptaka w głębi kontynentu; ojczyzną tego gatunku są wybrzeża i wyspy Morza Śródziemnego, niemniej licznie występuje nad Morzem Czarnym i Kaspijskim, sięgając daleko na wschód, aż do Chin, Australii i Nowej Zelandii. Oderwane i nieliczne stanowiska gnieżdżenia się rybitwy wielkodzióbej w Europie Północnej stwierdzono jedynie na wyspie Sylt oraz wybrzeżach Szwecji i Danii.

O ile gatunek ten w obszarach południowych jest osiadłym, w rejony północne zalatuje jedynie w okresie gniazdowania, pojawiając się tam w kwietniu, a opuszczając lęgowisko już w sierpniu i wrześniu.

Pojawienie się tego ptaka w okolicy Gliwic tłumaczę jego powrotną wędrówką w kierunku południowej Afryki, gdzie znajdują się jego leża zimowe. Jakkolwiek wędruje najchętniej wzdłuż wybrzeży morskich, gdzie znajduje pożywienie (głównie śledzie), jakimś dziwnym trafem zabłąkał się aż w te strony.

Dotychczas, jak podaje Dunajewski, stwierdzono go tylko 2 razy na terenie naszego kraju, wzdłuż środkowego biegu Wisły.

Dostarczony do Muzeum okaz, jeden z dwu, które przelatywały wspólnie nad stawem w Kuźni Nieborowickiej, to ptak stary, otrzymujący już zimowe upierzenie, o czym świadczy biało upstrzona czerń wierzchu głowy, oraz koralowo-czerwony dziób. Wymiary wynoszą: długość 53 cm., rozpiętość 121 cm.



„Rybitwa"

Marian Bielewicz
kustosz działu przyrodniczego.

Druk i klisze — Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1541. — XI. 48. 32.500. — B—57669.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki.

Zginęła suka szorstkowłosa „Kora“

65 — 68 cm. wysoka, maści ciemno brązowej, lewa przednia noga od stopy do wysokości około 12 cm. szara, prawa stopa i pierś, szare. Wiek około 2 lat.

Skradziona została z 27 na 28 sierpnia z leśniczówki Miłaszka Nadleśnictwo Wielowieś p-ta Grabów n/Prosną woj. poznańskiego z hodowli leśniczego Pawła Haidy. Sprzedana została prawdopodobnie na Ziemiach Odzyskanych.

Ze względu na wielką rolę „Kory” dla hodowli psa myśliwskiego w Polsce, prosimy Kolegów o pomoc w odnalezieniu tej suki. Wiadomość prosimy kierować do Redakcji „Łowca Polskiego”.